

PULS

GAZETA STUDENTÓW

NR 244 • 06-2024

ISSN 2956-784X



FRONTIERS IN NEUROLOGY

8TH INTERNATIONAL
STUDENTS CONFERENCE

Experts Sessions

Students Sessions

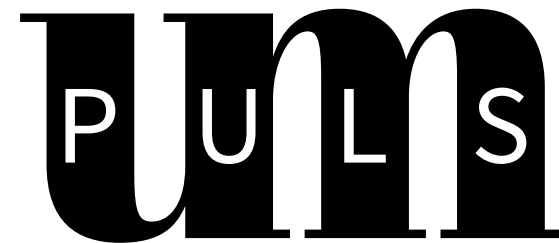
Practical Workshops

ABSTRACT SUBMISSION OPEN

Submit works with abstracts to our email:

ABSTRACT.FRONTIERS@GMAIL.COM

For
more
info
come to
our FB:



GAZETA STUDENTÓW

NR 244 • 06-2024

ADRIAN KOSTRZEWA
REDAKTOR NACZELNY



W ostatnich latach nasz kraj zmaga się z niepokojącym trendem spadającej wyszczepialności, co może prowadzić do poważnych konsekwencji zdrowotnych i społecznych. Zmniejszenie liczby osób szczepionych stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia publicznego.

Szczepienia odgrywają kluczową rolę w zapobieganiu chorobom zakaźnym, które w przeszłości powodowały epidemie i wysoką śmiertelność. Dzięki programom szczepień udało się praktycznie wyeliminować wiele groźnych chorób, takich jak polio, odra czy krztusiec. Jednakże, wraz ze spadkiem wyszczepialności, istnieje ryzyko nawrotu tych chorób. Przykładem jest odra, która w ostatnich latach powróciła w niektórych regionach Europy, w tym również w Polsce, gdzie zanotowano wzrost liczby zachorowań. Spadek wyszczepialności wynika z kilku czynników. Jednym z nich jest rosnący sceptycyzm wobec szczepień, spowodowany dezinformacją i teoriami spiskowymi szerzonymi głównie w mediach społecznościowych. Część rodziców obawia się niepożądanych odczynów poszczepiennych, mimo że badania naukowe potwierdzają, iż korzyści ze szczepień zdecydowanie przewyższają ryzyko. Brak szczepień prowadzi do obniżenia tzw. odporności zbiorowości, która jest niezbędna do ochrony tych, którzy z różnych powodów nie mogą być zaszczepieni, na przykład z powodu wieku czy chorób przewlekłych. Gdy poziom wyszczepialności spada poniżej krytycznego progu, choroby mogą się swobodnie rozprzestrzeniać, co stwarza ryzyko epidemii. Konsekwencje spadającej wyszczepialności mogą być katastrofalne. Oprócz bezpośredniego zagrożenia zdrowia, wzrost zachorowań obciąża system opieki zdrowotnej, generując dodatkowe koszty i zasoby. Ponadto,

Redaktor Naczelny: Adrian Kostrzewa
Z-czyni Redaktora Naczelnego: Aleksandra Długosz
Skład: Basia Borysewicz, Lidia Tańska
Okladka: Basia Borysewicz
Strona internetowa: Weronika Pierz
Korekta: Iga Bernacka, Kasia Pawłowicz, Maja Susło, Małgorzata Biernacka, Olga Starsierska, Patryk Moczyński, Zofia Wieczorek, Wojciech Pękosz, Zuzanna Adamkiewicz, Natalia Placek
Ilustracje: Basia Borysewicz, Lidia Tańska, Aga Cieśliewicz, Maria Tomaszewska
Kolegium: Piotr Chałaj, Olga Ciura, Zofia Czaplicka, Olga Drzymała, Stanisław Lipiak, Maria Łubieńska, Weronika Szymonik, Marta Rezler, Agata Tomaszewska, Wiktoria Trzebiatowska, Gaja Trzaskowska, Aneta Synakiewicz, Bartek Świercz, Franciszek Klarowski, Jan Mroczkowski, Jędrzej Trzeciak, Julia Danieluk, Julianna Zięzio, Kamila Garus, Magdalena Węglewska, Marcin Żółtowski, Maria Graczyk, Maria Łubieńska, Marta Rezler, Mateusz Szot

powrót kontrolowanych wcześniej chorób może podważyć zaufanie społeczeństwa do systemu ochrony zdrowia. Niezwykle ważne jest prowadzenie edukacji zdrowotnej i kampanii informacyjnych, które podkreślają znaczenie szczepień oraz obalają mity na ich temat. Tylko poprzez wspólne działania i odpowiedzialność społeczną możemy zapewnić ochronę zdrowia publicznego i zapobiec groźnym konsekwencjom spadku wyszczepialności.

SPIS TREŚCI

- 3 **Słowo wstępu** *Adrian Kostrzewa*
4 **Wariograf**
NAUKA
5 **Zaburzenia osobowości 2/8** *Patrycja Bartczak*
7 **Zjednoczeni dla zdrowia** *PTSF oddział Poznań*
10 **Od pomysłu do leku** *Soft Communication*
-Od soku z Cytryny do Deklaracji Helsińskiej
13 **21st International Summer School in Health Promotion – Palma de Mallorca** *dr hab. Jan Domaradzki*

ROZMAITOŚCI

- 14 **Kto da więcej? – Sekret potrzeby posiadania** *Basia Jaśkowiak*
15 **Pudzilla – Polak ze wszystkich największy** *Wojciech Janczak*
17 **Z akademickiego sportu medyków – 50 lat minęło** *Andrzej Deckert*
20 **Mowa kwiatów** *Zuzanna Laura Adamkiewicz*
KULTURA
22 **Herstory Hilmy af Klint** *Lidia Tańska*
O szwedzkiej malarce odkrywanej na nowo
24 **Elryk z Melniboné** *Jakub Trojanowski*
– Recenzja Książki. Biały Wilk z magicznym mieczem
27 **Cykl Artefakty: Wong Kar-Wai** *Weronika U. Musiał*
30 **Serial Fallout i adaptacje gier wideo** *Wojciech Pękosz*

ROZRYWKA

- 33 **Krzyżówka** *Kamila Garus*
34 **Sudoku**
36 **Dziennik Podróżnika** *Konrad Strzelecki*
38 **Suchary**

Koordynatorka Działu Pisarskiego: Weronika Musiał
Koordynator Działu Korekty Językowej: Wojciech Pękosz
Koordynatorka Działu Graficznego: Basia Borysewicz
Koordynatorka Działu PR: Aleksandra Kurowska
Koordynatorka Działu HR: Maria Tomaszewska
Koordynator ds. Kontaktów Zewnętrznych: Jan Mroczkowski
Koordynatorka Działu Nagrań Audiowizualnych: Zuzanna Nogaj

Numer zamknięto: 10.05.2024 r.

Nakład: 1500 sztuk i wydanie internetowe

Adres redakcji: DS Eskulap, ul. Przybyszewskiego 39, 60-356 Poznań
pulsum.ump.edu.pl • fb.com/PulsUMP • redakcja@pulsum.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Zgłoszenie tekstu do druku jest jednoznaczne z przekazaniem Redakcji prawa do jego własności.

WARIOGRAF

IMIĘ I NAZWISKO: Paweł Chmara

STOPIEŃ NAUKOWY: mgr. inż.

STANOWISKO: asystent w Klinice Ortopedii i Traumatologii Dziecięcej

STAŻ NA UCZELNI: 5 lat



TRZY SŁOWA, KTÓRE NAJTRAFNIEJ MNIE OPISUJĄ: Opanowany, perfekcjonista, idealista.

JESTEM MISTRZEM W: Pakowaniu walizek

MAM SŁABOŚĆ DO: Słodocy.

NIE POTRAFIĘ: Przeróżająco wielu rzeczy.

ZAWSZE CHCIAŁEM SIĘ NAUCZYĆ: Gwizdać.

CHCIAŁBYM JESZCZE: Zobaczyć zorzę polarną.

AUTORYTETEM SĄ DLA MNIE: Większość ludzi ma w sobie coś co warto naśladować.

KIEDY KŁAMIĘ: Rzadko to robię, ale nie jestem wtedy z siebie dumny.

SŁOWA, KTÓRYCH NADUŻYWAM: Spoko, dobra, no i fajnie.

IRYTUJE MNIE: Bezmyślność.

KIM LUB CZYM CHCIAŁBYM BYĆ, GDYBYM NIE BYŁ TYM, KIM JESTEM:

Lekarzem medycyny ratunkowej.

STUDENTOM ZAZDROSZCZĘ: Samego studiowania, to fajny czas.

KIEDY STOJĘ W KORKU: Podgłaszam muzykę.

MOJE HOBBY TO: Sport, książki, dobre gry (planszowe i komputerowe).

ZAWSZE MAM PRZY SOBIE: Okulary.

NIEZWYKŁA UMIEJĘTNOŚĆ, KTÓRĄ POSIADAM:

Jestem całkiem niezły z biomechaniki :-)

MOJE ULUBIONE MIEJSCE NA ZIEMI: Obok mojej żony.

MUZYKA, PRZY KTÓREJ SIĘ BAWIĘ: Z lat '90 i '00.

MUZYKA, PRZY KTÓREJ ODPOCZYWAM: Instrumentalna, rock, metal.

ENERGII DODAJE MI: Obserwowanie efektów mojej pracy.

MOJA RADA DLA STUDENTÓW: Nie zapamiętujcie tylko zrozumcie.

NETFLIX, HBO CZY TELEWIZJA: Książka.

JEŚLI TELEFON TO ANDROID CZY IPHONE: Android.

ULUBIONE HASŁO, KTÓRE CZĘSTO WYPOWIADAM: „Spoko, ogarnę”.

Zaburzenia osobowości 2/8

Osobowość histrioniczna

Czym są zaburzenia osobowości?

Zaburzenia osobowości to stałe schematy myślenia i zachowania, które mają negatywny wpływ na życie jednostki i jej relacje z innymi ludźmi. Osoby dotknięte nimi wykazują charakterystyczny zestaw cech, które razem tworzą obraz zaburzenia i utrudniają harmonijne funkcjonowanie w społeczeństwie. Wzorce zachowań są stałe i nieelastyczne w stosunku do sytuacji. Istnieją również jednostki, które wykazują pewne cechy podobne do takich występujących przy zaburzeniu osobowości. Są one jednak mniej nasilone i nie kwalifikują się jako odchylenie od normy, lecz stanowią specyficzny typ charakteru.

Obraz człowieka z osobowością histrioniczną

Wyobraź sobie naprawdę barwną osobę. Kogoś, kto wzbudza powszechne zainteresowanie nie tylko swoim ekstrawaganckim wyglądem, ale również zachowaniem. Gdy ta osoba opowiada historię, przyciąga uwagę wszystkich bujną gestykulacją i niezwykle podkoloryzowaną treścią wypowiedzi. Właściwie przypomina bardziej aktora w teatrze niż uczestnika zwykłej pogawędki. Zazwyczaj mówi głośno i dramatycznie, a w wypowiedziach emocjonalnych kwestiach brakuje szczegółów. Uwielbia być w centrum zainteresowania. Uważa relacje za bardziej intymne niż są w rzeczywistości. Mimo, że zna kogoś jedynie z widzenia traktuje tę osobę jak dobrego znajomego lub wręcz przyjaciela. Ma tendencję do niestosownych zachowań, flirtowania w sytuacjach formalnych w pracy czy u lekarza.



Przykłada wielką wagę do swojego wyglądu, zawsze ma ułożoną fryzurę oraz dopasowane ubrania i często próbuje tym zwrócić na siebie uwagę. Mimo, że często prawi komplementy, szybko wpada w złość, gdy wyczuje spadek zainteresowania sobą ze strony innych. Cechuje się impulsywnością. Ma tendencję do łatwego poddawania się sugestiom i wpływowi ludzi oraz ulegania perswazji.

Życie z osobowością histrioniczną

Ludzie są bardzo różni, więc opisana powyżej osoba mogłaby po prostu mieć takie cechy charakteru. Jednak zaburzenie osobowości charakteryzuje się cierpieniem osoby dotkniętej lub jej otoczenia. Osoby histrioniczne czują dyskomfort w momencie, gdy nie otrzymują należytej porcji uwagi. Ich otoczenie często czuje się nimi przytłoczone, co sprawia trudności w budowaniu i utrzymywaniu stabilnych relacji. Osoby z histrioniczną osobowością cechuje wysoki poziom lęku i intensywne przeżywanie emocji. Przyciągają je osobiste dramaty i ryzyko. Mogą być tak uzależnione od emocjonalnych wzlotów, że przechodzą z jednego kryzysu w kolejny.

Leczenie

Leczenie osób z histrionicznym zaburzeniem osobowości opiera się głównie na psychoterapii. Osoby te nie zgłaszają się na terapię ze względu na swoją osobowość, lecz z powodu problemów i kryzysów w relacjach z innymi. Często są to sytuacje poważnych konfliktów, kryzysów w związkach, trudności w codziennym funkcjonowaniu lub pogorszenia zdolności radzenia sobie z życiem. Sama terapia może być pełna intensywnych emocji, dramatyzmu i oczekiwań dotyczących specjalnego traktowania pacjenta. Każdy aspekt osobowości histrionicznej odbija się w interakcjach z terapeutą, w tym również skłonność do uwodzenia i seksualizacji relacji. Leczenie farmakologiczne jest stosowane jedynie w przypadku wystąpienia objawów depresji lub za-

burzeń lękowych. Należy je prowadzić ostrożnie, ponieważ leki mogą być używane w manipulacyjny sposób lub w celach autodestrukcyjnych. Pacjenci mogą nadużywać leków, aby zwrócić na siebie uwagę lub podkreślić swoje złe samopoczucie. Istnieje także ryzyko ich użycia do prób samobójczych, co wymaga szczególnej ostrożności w ich przepisywaniu.



Ilustracja: Basia Borysewicz

Zjednoczeni dla Zdrowia

Razem dla dobra pacjenta

13 stycznia tego roku w poznańskiej galerii handlowej odbyła się akcja edukacyjna „Zjednoczeni dla Zdrowia” organizowana przez Polskie Towarzystwo Studentów Farmacji Oddział Poznań. PTSF jest samorządną i apolityczną organizacją non-profit zrzeszającą studentów i absolwentów farmacji z całej Polski. Członkowie organizacji kierują się odpowiedzialnością społeczną, poszukiwaniem nowych możliwości rozwoju oraz troską o wizerunek zawodu farmaceuty.

W ciągu ostatnich lat z radością obserwujemy rozkwit polskiej farmacji i idące za tym nowe perspektywy zawodowe. Coraz rzadziej mając w głowie obraz farmaceuty, jawi się postać sprzedawcy w białym fartuchu, stojącego w aptecznym okienku. Nowe usługi farmaceutyczne większą uwagę skupiają na komunikacji z pacjentem oraz przedstawicielami innych zawodów medycznych. „Zjednoczeni dla Zdrowia” to akcja, której myślą przewodnią było zapoznanie społeczeństwa z kierunkiem rozwoju medycyny, jakim są zespoły interdyscyplinarne.

Przedstawiciele systemu ochrony zdrowia, by nadążyć za dynamicznie rozwijającą się medycyną, są zobowiązani do ciągłego rozwoju. Nie ma jednak osób nieomylnych, więc idealnym rozwiązaniem wydaje się być wzajemne uzupełnianie kwalifikacji i wiedzy fachowych partnerów. W dzisiejszych czasach szansą na skuteczne leczenie pacjenta jest współpraca grupy specjalistów różnych obszarów ochrony zdrowia. Niestety w Polsce jest to wciąż raczkujący temat, a tempo pojawiania się zespołów interdyscyplinarnych pozostawia wiele do życzenia. Projekt ten był szansą na nawiązanie kontaktu ze studentami różnych kierunków nauk medycznych – przyszłymi farmaceutami, lekarzami, pielęgniarkami, czy ratownikami medycznymi. Klienci galerii

z wielkim zaangażowaniem wchodzili w konwersację, byli ciekawi planów i możliwych kierunków rozwoju. Większość przechodniów nie była świadoma miejsc, w których farmaceuta może się spełniać zawodowo. Dużym wyzwaniem jest brak dostatecznej wiedzy społeczeństwa o kompetencjach poszczególnych grup zawodowych. Dlatego my – studenci farmacji Uczelni Medycznej w Poznaniu, widząc potrzebę zapewnienia pacjentom odpowiedniej opieki i mając w sobie duże pokłady nadziei na rozwój, próbujemy pokazać wszystkie możliwe ścieżki kariery. Poza oczywistą potrzebą przedstawienia obrazu farmaceuty jako członka zespołu, mającego znaczący głos w podejmowaniu decyzji dotyczących farmakoterapii, celem styczniowego wydarzenia było również szerzenie edukacji medycznej, promocji zdrowia oraz samokontroli wśród pacjentów. Wydarzenie cieszyło się dużym zainteresowaniem osób odwiedzających galerię. Możliwość wykonania podstawowych badań, w celu dostrzeżenia ewentualnych nieprawidłowości, okazała się wspaniałym pomysłem, a pacjenci z ciekawieniem i życzliwością oddawali się w ręce studentów. Podczas wydarzenia można było wykonać pomiar ciśnienia tętniczego krwi, bezpłatnie zasięgnąć porady przyszłych farmaceutów z zakresu rozsądnego stosowania preparatów ziołowych. Obej-



rzeć wybrane surowce roślinne w formie makroskopowej i mikroskopowej. Pacjenci mieli również możliwość poznania niewidocznej części pracy farmaceuty w aptece – receptury. Przyszli magiście zdradzili tajniki wykonywania maści, a najmłodszy pacjenci w formie zabawy eksperymentowali, tworząc kolorowe proszki z użyciem moździerza i pestla. Współpraca z SKN Dietetyki Klinicznej była szansą na poznanie wartości swojego BMI, dokonania analizy składu ciała oraz uzyskania wskazówek dotyczących zbilansowanej diety. Przyszłe lekarki zwróciły szczególną uwagę na istotność samobadania piersi oraz regularnych wizyt ginekologicznych. Oprócz rozmowy dotyczącej profilaktyki raka piersi, szyjki macicy, czy jajników, zapewniły również gumowe narzędzia intymne w celu przećwiczenia prawidłowości wykonania badania. Akcję wzbogacili swoją obecnością studenci ratownictwa medycznego, stomatologii i pielęgniarstwa, przeprowadzając odpowiednio: in-

struktaż pierwszej pomocy w przypadku zadławienia u dzieci i dorosłych, odpowiedniej profilaktyki higieny jamy ustnej oraz właściwego opatrzywania ran. Dzięki SKN Kosmetologii Praktycznej pacjenci mogli dowiedzieć się czegoś więcej o czerniaku. Każdy zainteresowany na pewno już zdaje sobie sprawę, jak chronić swoją skórę przed rozwojem tego nowotworu. Zjednoczeni – jak sama nazwa wskazuje mówi o połączeniu. Ideą tego przedsięwzięcia było podniesienie świadomości w zakresie zdrowia publicznego i edukacji prozdrowotnej oraz przedstawienie nowoczesnego, bardzo ważnego poglądu na zespół, w którym zawody i umiejętności poszczególnych członków wzajemnie się uzupełniają w jednym celu – zapewnienia najlepszej opieki pacjentom. To nie tylko nadzieja na nową ścieżkę kariery dla farmaceutów, to też szansa na szybki powrót do zdrowia dla osób chorych.

Akcja „Zjednoczeni dla Zdrowia” nie odbyłaby się bez zaangażowania studentów i absolwentów Uczelni Medycznej w Poznaniu, którzy zadbali o przygotowanie merytoryczne oraz organizację całego przedsięwzięcia. Podczas przygotowań do wydarzenia studenci otrzymali pomocną dłoń i wsparcie od Prezesa Wielkopolskiej Okręgowej Rady Aptekarskiej IX Kadencji mgr farm. Mateusza Szamałki i od dr hab. n. farm. Magdaleny Waszyk – Nowaczyk. Uczestnicy pokonali początkowe skrzepowanie, pozbyli się swoich obaw w nawiązywaniu kontaktu z pacjentem oraz są bogatsi o nowe doświadczenia. Wydarzenie zostało objęte patronatem honorowym przez Wielkopolską Okręgową Izbę Aptekarską, rektora Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu prof. dr. hab. Andrzeja Tykarskiego oraz dziekana Wydziału Farmaceutycznego UMP prof. dr hab. Annę Jelińską. Patronatu Medialnego udzielili: Radio Po-

znań, Radio Afera, Puls UM. Partnerem wydarzenia był zakład zielarski KAWON-HURT.

Wiktoria Pawlak – Wiceprzewodnicząca ds. Zewnętrznych PTŚF oddział Poznań
Karolina Pluta – Koordynatorka ds. komunikacji medialnej PTŚF oddział Poznań



Od pomysłu do leku: poznaj świat badań klinicznych

Od soku z cytryny do Deklaracji Helsińskiej

Badania kliniczne stanowią dziś ważny czynnik postępu medycyny, dostępu pacjentów do nowoczesnych terapii oraz rozwoju naukowego lekarzy. Obwarowane są licznymi i wciąż aktualizowanymi regulacjami prawnymi i standardami etycznymi. Obecnie Wspólnota Europejska przygotowuje się do wdrożenia nowego Rozporządzenia w sprawie badań klinicznych produktów leczniczych stosowanych u ludzi. Będzie ono harmonizować regulacje badań klinicznych i obowiązywać będzie we wszystkich krajach Unii Europejskiej. Czy zawsze tak było? Czy prowadzenie eksperymentów medycznych zawsze podlegało tak restrykcyjnym przepisom? I czy były one przestrzegane?

Kroki milowe w historii badań klinicznych

W roku 1747 James Lind, lekarz szkockiej marynarki Armii Królewskiej, przeprowadził pierwsze badanie kliniczne z grupą kontrolną poddaną innemu leczeniu. W ówczesnych czasach marynarze często chorowali na szkorbut. Lind udowodnił skuteczność jedzenia owoców cytrusowych w leczeniu tej choroby badając 12 członków załogi HMS Salisbury. Podzielił on marynarzy na 6 grup i każdej grupie podawał do posiłków inne specyfiki uznawane za pomocne u chorych na szkorbut, w tym cytrusy. Pierwszą próbę randomizacji chorych podjął w 1898 roku Johannes Fibiger. Badanie porównywało skuteczność surowicy (immunoglobuliny) przeciw-krztuścowej do leczenia standardowego. Fibiger swoim pacjentom w dni nieparzyste zalecał standardową terapię, zaś w dni parzyste surowicę. Był to przełomowy, choć nieidealny, model pierwszej randomizacji. W roku 1948 przez Medical Research Council w Wielkiej Brytanii zostały ogłoszone wyniki badania przeprowadzonego z prawidłową randomizacją oraz właściwie dobraną grupą kontrolną. Była to próba oceniająca skuteczność

streptomycyny w leczeniu gruźlicy. Randomizacja 107 pacjentów oparta była o algorytm statystyczny. Przydział pacjentów do grupy badanej bądź kontrolnej nie był znany żadnemu lekarzowi – informacje te zawarte były w zapieczętowanych kopertach z nazwą szpitala i numerem. Natomiast już 4 lata wcześniej, również pod egidą MRC, przeprowadzono badanie, w którym pierwszy raz świadomie zastosowano placebo. Badanie dotyczyło użycia ekstraktu z *Penicillium patulum* w leczeniu przeziębienia. Uczestnicy zostali podzieleni na dwie grupy, z czego połowa uczestników otrzymała badany produkt, zaś druga połowa identycznie wyglądające i smakujące placebo.

Eksperymenty medyczne wczoraj i dziś

Na przełomie XIX i XX wieku wraz z rozwojem przemysłu farmaceutycznego liczba ludzi uczestniczących w eksperymentach medycznych znacznie wzrosła. To właśnie wtedy rozwój badań zapoczątkował liczne nadużycia pod względem etycznym. W latach 30. XX w. firma S.E. Massengill Company wytwarzająca tabletki z sulfanilamidem, popular-

nym środkiem przeciwbakteryjnym, wprowadziła ten sam lek w postaci syropu na kaszel dla dzieci. Bez przeprowadzenia badań ani sprawdzenia bezpieczeństwa, podczas produkcji użyto glikolu etylenowego jako rozpuszczalnika. Skutki tej decyzji były tragiczne – liczne zgłoszenia silnych bólów brzucha, wymiotów, nudności oraz niewydolności nerek po zażyciu syropu. Odnotowano 105 zgonów. Żadne regulacje prawne nie wymagały wówczas badania bezpieczeństwa nowych leków, także twórca nie złamał żadnych przepisów. Pośrednim skutkiem tych wydarzeń było przyspieszenie prac nad nową ustawą wymagającą przedstawienia dowodu bezpieczeństwa leku zanim zostanie on dopuszczony do sprzedaży. Odpowiedzialność za ignorowanie przepisów pojawiła się dopiero po II Wojnie Światowej podczas Procesu Norymberskiego prowadzonego przez amerykańskich sędziów przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w latach 1945–1949. Na światło dzienne wyszedł problem nieludzkiego traktowania uczestników pseudobadań medycznych, podczas których śmierć poniosło tysiące więźniów obozów koncentracyjnych. Sąd w 1947 roku wydał wyrok, który zawierał 10-punktowy zbiór zasad etycznych do stosowania podczas eksperymentów na ludziach. Werdykt sędziów aktualnie znany jest pod nazwą „Kodeks Norymberski”. Pierwsza zasada konstytuowała dobrowolną zgodę pacjenta jako fundamentalny dokument oraz warunek konieczny do rozpoczęcia prowadzenia badania klinicznego. Wprowadził on pojęcie Świadomej Zgody Uczestnika na udział w badaniu oraz informował, że uczestnik ma prawo do rezygnacji z udziału w już rozpoczętym badaniu. Z zasad kodeksu wywodzą się wszystkie powstałe później standardy etyki prowadzenia badań.

Deklaracja Helsińska

Systematyczna ocena bezpieczeństwa stosowania produktów leczniczych rozpoczęła się natomiast dopiero pod koniec 1960 roku, kiedy udowodniono

silne działanie mutagenne Talidomidu. W latach 50. XIX wieku Talidomid sprzedawany był bez recepty, łagodził poranne wymioty oraz zmiany nastroju u kobiet w ciąży. Lek był znany, a przeprowadzane na zwierzętach testy nie stwierdziły jego toksyczności. Okazało się, że nigdy nie zbadano działania mutagennego leku – nie było jeszcze wtedy obowiązku wykonywania badań teratogenności. W Europie zanotowano urodzenia dzieci z deformacjami określonymi jako fokomelia. Ofiarami zostało około 15 000 płodów. Pokłosiem tragedii talidomidowej było uchwalenie Deklaracji Helsińskiej w 1964 roku. Deklaracja podkreślała konieczność uzyskania świadomej zgody od uczestników badania oraz prawo do decydowania o udziale w badaniu nawet w trakcie jego trwania. Powstały w 1979 roku Raport z Belmont był wynikiem ujawnienia prawdy o nieetycznych eksperymentach prowadzonych z udziałem ludzi (m.in. badania Tuskegee oraz Willowbrook). Wskazywał m.in. zasadę ochrony osób o ograniczonej możliwości decydowania o sobie. Badanie Tuskegee, a właściwie seria eksperymentów medycznych, nastawione było na śledzenie naturalnego przebiegu kiły. W badanej grupie znalazło się 400 czarnoskórych farmerów z miejscowości Tuskegee, którzy byli tą chorobą zakażeni. Byli oni obserwowani i pozostawieni bez leczenia, choć sami przekonani byli, że otrzymują od rządu bezpłatną opiekę medyczną. Natomiast w Willowbrook od połowy lat 50. do roku 1970 prowadzony był eksperyment na upośledzonych dzieciach, które celowo były zakażane wirusem zapalenia wątroby. Celem badania była obserwacja choroby wśród dzieci pozostawionych bez leczenia oraz ocena efektu podania gamma globulin.

GCP i Świadoma Zgoda

Rozprzestrzenienie wielośrodkowych, międzynarodowych badań z udziałem ludzi doprowadziło do zainicjowania w 1990 roku procesu harmonizacji wymagań z zakresu prowadzenia badań klinicz-

nych. Celem Międzynarodowej Konferencji ds. Harmonizacji (ang. ICH – International Conference for Harmonisation) było zapewnienie o bezpieczeństwie, skuteczności oraz wysokiej jakości produktów leczniczych. Jedną z wytycznych ICH jest tzw. Dobra Praktyka Kliniczna (ang. GCP – Good Clinical Practice). Standard ten zapewnia że raportowane wyniki oraz zebrane dane są dokładne, rzetelne oraz, że dobro, prawa i poufność danych uczestników badań zostały zapewnione. Wytyczne GCP oraz wszelkie aktualne regulacje prawne szczegółowo poruszają temat uzyskiwania świadomej zgody pacjentów na udział w badaniach klinicznych. Proces ten, przeprowadzany przez lekarza przed podjęciem jakichkolwiek działań związanych z badaniem, ma na celu przede wszystkim zapewnienie dobra pacjenta, poinformowanie go o przebiegu i ryzyku badania oraz o możliwości rezygnacji z udziału w każdym momencie trwania badania, nawet bez podawania przyczyny tej decyzji. Formularz świadomej zgody, napisany przystępnym i zrozumiałym dla uczestnika językiem, tłumaczy wszystkie procedury jakim będzie on poddawany w trakcie badania. Świadome potwierdzenie woli uczestnictwa w badaniu dokumentowane jest podpisem pacjenta oraz lekarza. Jeśli uczestnikiem badania miałyby być dziecko lub osoba ubezwłasnowolniona, świadoma zgoda musi zostać wyrażona przez rodziców lub opiekunów prawnych. Dodatkowo formularz dla dzieci jest napisany prostym językiem dostosowanym do wiedzy i poziomu rozwoju oraz opatrzone rysunkami. Jeśli jest taka możliwość, również dziecko podpisuje formularz. Bardzo duża liczba wytycznych, regulacji, przepisów w badaniach klinicznych została stworzona niestety na podstawie wcześniejszych negatywnych doświadczeń. Te doświadczenia doprowadziły do momentu, w którym dobro i bezpieczeństwo pacjenta jest najważniejsze, a cały proces badania klinicznego jest niemożliwy bez uzyskania świadomej zgody uczestnika.



21st International Summer School in Health Promotion – Palma de Mallorca

Caring for Care: Professional Well-being, Humanising Care Practice and Advocacy for Change

W dniach 13–17 maja odbyła się dwudziesta pierwsza edycja międzynarodowej Summer School in Health Promotion. Tym razem jej gospodarzem był University of the Balearic Islands (**Hiszpania**), udział w niej wzięli wykładowcy i studenci z Nasze-

go Uniwersytetu, Esslingen University of Applied Sciences (**Niemcy**), Fontys University of Applied Sciences, Tilburg (**Holandia**), HoWest, Hogeschool West-Vlaanderen, University of Applied Sciences (**Belgia**) i Hannover University of Applied Sciences and Arts (**Niemcy**).

Tematem przewodnim tegorocznego spotkania były kwestie związane z promocją zdrowia wśród zawodów medycznych. Sam tytuł Summer School brzmiał: **Caring for Care: Professional Well-being, Humanising Care Practice and Advocacy for Change**. Aktualny i niezmiennie ważny z perspektywy zdrowia publicznego temat wsparcia i promocji zdrowia wśród profesji medycznych wzbudził duże zainteresowanie uczestników, czego wyrazem były towarzyszące zajęciom dyskusje, potwierdzające kolejny trafny i ciekawy wybór tematyki Summer School.



W tegorocznej Summer School wzięło udział ponad **82 uczestników** z sześciu krajów, którzy mogli wysłuchać wielu ciekawych wykładów przedstawionych przez 22 wykładowców

i 60 studentów z Hiszpanii, Polski Niemiec, Holandii, Belgii i Grecji.

Naszą Alma Mater reprezentowali **dr hab. n. hum. Jan Domaradzki, prof. UMP** z Katedry Nauk Społecznych i Humanistycznych i **dr n. med. Ewelina Chawłowska** z Pracowni Zdrowia Międzynarodowego oraz grupa ośmiu studentów zdrowia publicznego: Wanessa Błaszkievicz, Julia Gandurska, Maria Matuszewska, Julia Surdacka, Grzegorz Ochman, Sebastian Czabański oraz fizjoterapii: Amelia Młynarkiewicz i Aleksandra Plonkowska, którzy pod okiem nauczycieli przygotowali warsztat nt.: *Burn-out in health professions – coping and prevention*.

Podsumowując przebieg tegorocznego spotkania, koordynatorzy Summer School potwierdzili chęć organizacji kolejnych edycji letniego kursu. Ustalono przy tym, że przyszłoroczna Summer School odbędzie się w maju 2025 w Brugii, a kolejna w Tilburgu.

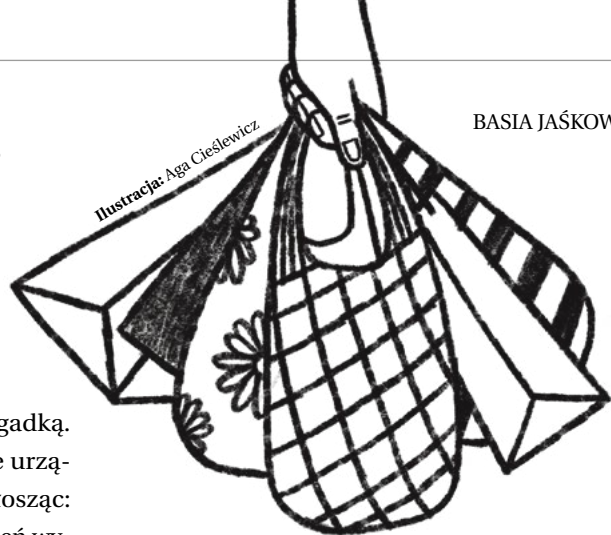
Kto da więcej?

Sekret potrzeby posiadania

Współczesna moda jest dla mnie zagadką. Ta sama osoba pokazuje swoje mieszkanie urządzone w skandynawskim minimalizmie, głosząc: „czysta przestrzeń, to czysty umysł” i co tydzień wypuszcza haule zakupowe, w których pokazuje sukienki, których ma już pięć, książki, które dołączają do sterty „do przeczytania” i będą tam siedzieć, póki nie obrosną kurzem na tyle, by uciec lub kolejną butelkę filtrującą albo baniak na wodę z tęczowym designem, mimo że noszenie go po mieszkaniu to już dobry trening, a co dopiero zabranie takiego ze sobą na uczelnię. Wszystko to pod otoczką minimalizmu, bo jeżeli uda mi się schować to do szafy lub ułożyć na półce tak, by wyglądało estetycznie, to jakby tego nie było. Pierwszy element życia niepełnego, a przepełnionego. Konsumpcjonizm, który ma zaspokoić naszą potrzebę dopasowania do trendów lub pustki, którą tak naprawdę odczuwamy. Zastanówcie się, co łatwiej wyrzucić – jedno z pięciu sneakersów czy jedyne takie buty?

Uznałam, że wyjście od rzeczy materialnych ułatwi Wam, dążenie za moim tokiem myślowym, kiedy przeniesiemy ten temat na sprawy bardziej życiowe. „Kiedy masz mniej, masz więcej do stracenia”.

Te słowa spadły na mnie jak gład. Myślałam, że słucham zabawnego musicalu, kiedy nagle zatrzymałam muzykę i zaczęłam rozważać ten jeden wers. Widzę w nim ogrom prawdy. Spójrzcie sami – dużo różnych zainteresowań, mnóstwo planów na siebie, kilka oddzielnych grup znajomych. Chcemy mieć dużo, bo boimy się straty czegoś ważnego, a jeżeli zorganizujemy sobie pewien zapas, może ta krzywdą nie będzie tak znacząca? Moim zdaniem, można odnieść to do prawie każdej sytuacji, kilka przykładów?



Ilustracja: Aga Cieśliewicz

BASIA JAŚKOWIAK

Mam znajomych na uczelni, na zajęciach dodatkowych i w rodzinnym mieście. Jeżeli z jakiegoś powodu drogi moje i któreś z tych grup się rozejdą, wciąż mam 2 pozostałe, więc w sumie nie mam o co się bać. Gorzej jeżeli zostaje mi jedna z nich. Wtedy perspektywa utraty kontaktu zdaje się równać absolutnej izolacji od ludzi.

Mam chłopaka, ale poza nim interesuje się mną jeszcze kilku innych. Jeżeli on ze mną zerwie, co powiem w złości? „Wiesz ilu chłopaków, bije się o twoje miejsce”? I o ile nie był to faktycznie ten jedyny, pocieszymy się zdaniem „tego kwiatu jest pół świata”, bo jeżeli opcji jest aż tyle, nie ma nad czym rozpaczać.

Kolejna sytuacja – zauważyliście, że lzy i nostalgia pojawiają się dopiero w ostatniej klasie liceum?

Pozwalając na to, by strach przed utratą tej dynej lub tej ostatniej rzeczy przejmował nad nami kontrolę, będziemy stale dążyli do więcej, nieważne czego, ważne, że więcej.

Tutaj dochodzimy do tematu, który zostawiam już Wam do przemyślenia – znanego wszystkim sporu ilość kontra jakość. Nie będę prawda Wam o tym, że lepiej mieć 2 dobrych przyjaciół niż dziesięciu, którzy na ten tytuł nie zasługują ani o tym, że zainwestowanie raz większej sumy jest bardziej opłacalne, niż wielokrotne zakupy za mniej, które w rezultacie bardziej obciążają Wasz budżet. Zostawię Was z możliwą genezą Waszej potrzeby posiadania i pytaniem – kiedy jeszcze mniej, może znaczyć więcej.

Pudzilla

– najsilniejszy Polak?

Każdy zna Pudziana. Dominator z Białej Rawskiej jest jednym ze sportowców, których można zaliczyć do "idoli kryzysowych", nielicznych odnoszących sukcesy we wczesnych latach dwutysięcznych. Podobnie jak Adam Małysz, Pudzian był w stanie regularnie wygrywać zawody deklasując konkurencję. Jego fenomen, choć nie tak wielki jak Małyszomania, przyczynił się do popularyzacji sportów siłowych. Cotygodniowe zawody strongman pokazywane były w telewizji TVN i zawsze gromadziły przed odbiornikiem wielu wiernych kibiców. Obecnie "Pyton" znany jest głównie z udziału w galach KSW, którymi zajął się po zakończeniu kariery siłacza oraz z kanału na Youtube, gdzie można zobaczyć relację z jego codziennego życia. Wielu z nas nie zna jednak całej historii stojącej za jednym z Polaków należących do grona tych "największych".

Dobre warunki do wzrostu

Młody Mariusz przyszedł na świat z bagażnikiem załadowanym po sufit dobrymi genami – jego ojciec i pierwszy trener, Wojciech, był w przeszłości sztangistą. Już w wieku 16 lat Pudzilla zaskakiwał swoją siłą – był w stanie wycisnąć na ławce płaskiej 160 kilogramów. Nie oznacza to jednak, że jego rozwój fizyczny był monotematyczny. Pudzianowski uprawiał wiele dyscyplin – od rugby, poprzez boks, aż do karate. Wiele z umiejętności nabytych wtedy z pewnością przydało mu się w późniejszej karierze fightera. Nie oznacza to jednak, że całe życie "Maria" było usłane różami. W 2000 roku, po debiucie na zawodach strongman, siłacz pracujący wówczas jako ochroniarz został skazany na 2.5 roku pozbawienia

wolności. Zwolniono go jednak po roku.

World Strongest Man

Jak było dalej wie każdy – większość zawodów, w których wystartował Dominator padała jego łupem. Pomagał mu w tym jednak fakt, że konkurencje w strongman były wtedy trochę bardziej wymyślne niż obecnie. Wiele z zadań stawianych przed ówczesnymi siłaczami polegało na połączeniu niesamowitej siły z wytrzymałością. Obejmowały one wykonywanie dużej liczby powtórzeń ćwiczeń oraz wymagały dużej koordynacji i umiejętności zastosowania mocy w posługiwaniu się nieporęcznymi przedmiotami. Mimo niezaprzeczalnie niesamowitych wyników w konkurencjach statycznych "Mario" nigdy nie był w nich najlepszy. Pomimo rekordów takich jak 290 w wyciskaniu, 380 w przysiadzie, 415 w martwym ciągu i 180 w wyciskaniu nad głowę, często musiał uznawać wyższość zawodników takich jak Žydrūnas Savickas (jednego z największych rywali Pudziana). Ostatecznie wszystko co tracił w tych konkurencjach nadrabiał z namiastką kiedy trzeba było wykazać się czymś więcej niż tylko brutalną siłą. Spacer farmera, biegi z ciężarem, przenoszenie przedmiotów i wszystkie inne wyzwania testujące wytrzymałość siłową były perłą w koronie Polaka. Ostatecznie karierę Strongman zakończył z rekordowym dorobkiem 5 tytułów mistrza świata, 3 mistrzostwami drużynowymi i licznymi zwycięstwami w wielu innych zawodach. Nie oznacza to jednak, że kariera sportowa Pudziana jest nieskazitelna – zdarzyło się, że został on zawieszony przez IFSA¹. Powiedzmy sobie jednak szczerze – nie ma w tym raczej nic złego bo, jak dobrze wiemy, nikt na samej

¹ International Federation of Strength Athletes

bułce z bananem Tour the France nie pokonał.

Na gołe klaty

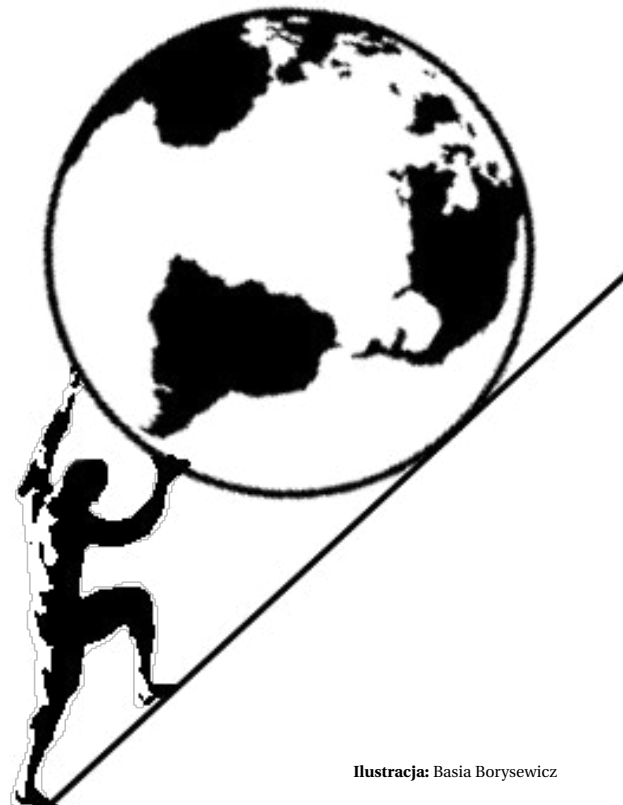
W 2009 zaczęła się przygoda Mariusza, która trwa do dziś. W pierwszym Polskim freak-fightcie w historii Dominator zmiażdżył człowieka o statusie niezbyt śmiesznego mema – Marcina Najmana. Późniejsze walki Pudzilli stanowiły ozdobę gal KSW i pokazały, że pomimo wieku i braku doświadczenia Pyton, dzięki swojemu atletyzmowi, jest w stanie być konkurencyjnym fighterem. Pomimo kilku porażek z rąk niezłych zawodników nasz dzisiejszy bohater udowodnił, że nie przestrzega żadnych ograniczeń. Poza MMA Pudzian, jako celebryta, odwiedził wiele programów rozrywkowych takich jak taniec z gwiazdami. Udział w życiu publicznym szybko przyczynił się do powstania licznych memów, które bawią nas wszystkich po dziś dzień.

To który był w tych kulach?

Polski Internet do dziś ma specjalną szufladę na memy z Pudzianowskim. Chyba każdy słyszał słynne "To by nic nie dało, nie dałoby nic" (Pudzian w tej wypowiedzi tłumaczy, że aby wygrać zawody musiałby zająć 1 miejsce w ostatniej konkurencji, zaś jego rywal musiał wylądować poza podium. Jako że wspomniany wcześniej przeciwnik zajął pierwsze miejsce to nawet ewentualne zwycięstwo Pudziana "nic by mu nie dało") czy chociażby popularne "samo się nic nie robi". Utrzymujący się fenomen Pudziana można przypisać jego specyficznemu sposobowi prezentowania się w Internecie, którym przypomina naszych wujków z pokolenia Y oraz bogatemu napływowi nowych treści publikowanych na kanale YouTube naszego bohatera. Liczne filmy z pracy na polu, treningów na siłowni, porannych przebieżek oraz niedzielnych piwnych seansów dostarczają wody na młyn internetowych twórców śmiesznych obrazków i przeróbek.

Mariusz Pudzianowski to niezaprzeczalnie jeden z najbardziej rozpoznawalnych żyjących współcześnie Polaków. Jego sława, która została zapoczątkowana

dzięki wybitnym osiągnięciom sportowym w dość niszowej dyscyplinie, co zbiegło się z czasem posuchy w polskim sporcie, zapewniły Pudzilli dobry start. Z biegiem czasu jego persona medialna przeszła transformację, poprzez którą trafił do każdej grupy wiekowej. Starsi pamiętają jego popisy z ciężarami, my zaś kojarzymy wszystkie te dokonania z mglistych opowieści i często bardziej skupiamy się na wizerunku medialnym, który jest przynajmniej po części wynikiem przypadku. Tak czy inaczej osoba Pudziana na zawsze pozostanie częścią "polskości" i naszej kultury popularnej.



Ilustracja: Basia Borysewicz

Z akademickiego sportu medyków – 50 lat minęło

Minęło wiele wieków i okazuje się, że we współczesnym społeczeństwie za sprawą rozwoju nauk medycznych i wychowania fizycznego nastała moda na równomierny rozwój cech fizycznych i duchowych człowieka.

Definicja zdrowia wg WHO głosi, że człowiek zdrowy, to jednostka nie tylko wolna od chorób i schorzeń, także sprawna i wydolna fizycznie. Jakże zbieżna z ideą kalokagatii Platona i Arystotelesa.

W połowie lat 80. ubiegłego wieku, staraniem Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego i redakcji krakowskiego miesięcznika "Tempo" ustanowiono honorowe odznaczenie Kalos kagathos przyznawane wybitnym polskim sportowcom, medalistom Igrzysk Olimpijskich, Mistrzostw Świata, Mistrzostw Europy. Pierwsze wyróżnienia wręczono w 1985 roku tym, którzy dzielnie i szlachetnie oraz z sukcesami walczyli na arenach sportowych, a po zakończeniu kariery zawodniczej osiągnęli znaczące sukcesy naukowe.

W 1999 roku z inicjatywy kierownika Studium Wychowania Fizycznego i Sportu poznańskiej Akademii Medycznej postanowiono podczas Święta Kultury Fizycznej wręczać naszym nauczycielom akademickim, którzy w przeszłości byli doskonałymi sportowcami, uczelniane honorowe odznaczenie Kalos Kagathos. Na przestrzeni lat takowe wyróżnienie otrzymali: prof. AM dr hab. kult. fiz. Bernard Kobielski – kierownik Studium WF i S. W swej bogatej karierze sportowej był Mistrzem Polski w torze przeszkód, i Mistrzem Polski AZS w sztafecie 4x100 m. Prof. dr hab. med. Zygmunt Przybylski – Kierownik Katedry



i Zakładu Medycyny Sądowej, oraz kurator KU AZS był czołowym „tyczkarzem” Polski i wieloboistą. Prof. dr hab. med. Ewa Wender-Ożegowska – Klinika Położnictwa i Chorób Kobięcych – była kilkunastokrotną rekordzistką i Mistrzynią Polski w pływaniu. Prof. dr hab. med. Krystyna Zawilska – kierownik Kliniki Hematologii jako studentka zdobyła srebrny medal na Akademickich Mistrzostwach Świata w siatkówce.

Piękni pięćdziesięcioletni

„Czterdzieści lat minęło jak jeden dzień” – śpiewał Andrzej Rosiewicz. 50 lat minęło równie szybko od ważnego sportowego wydarzenia sportowców z AZS poznańskiej Akademii Medycznej.

W maju 1974 roku podczas I Mistrzostw Polski Akademii Medycznych w piłce ręcznej mężczyzn rozgrywanych w Białymstoku, Akademia Medyczna Poznań zdobyła Złoty Medal. Wydarzenie owe pamiętam jak dziś, bo i sukces był niesamowity. Pamiętam, bo również jako trener zostałem ozdobiony złotym medalem. Sukcesy osiąga się przede wszystkim na bazie wzajemnego zaufania. Trener wierzył w możliwości zawodników, wśród których tylko Henryk Siniawski miał doświadczenie zawodnicze w II ligowym AZS-ie. Pozostali, entuzjaści piłki ręcznej, to przysposobieni koszykarze, lekkoatleci, pływak, hokeista na trawie. Zawodnicy zawierzyli trenerowi, trener zaufał zawodnikom. Wspólnie stworzyliśmy zgrany zespół na miarę mistrzowską.

Przygotowania były długie i żmudne. Pamiętam obóz

przygotowawczy w Bukowinie Tatrzańskiej. Wiosna. Większość uczestników jeździło na nartach, a my biegaliśmy i próbowaliśmy grać w piłkę, co było trudnym zadaniem, gdyż nie było równego terenu. Ćwiczyliśmy technikę piłkami lekarskimi przywiezionymi w plecakach. W końcowej fazie przygotowań musiał zrezygnować z udziału w mistrzostwach nasz najlepszy snajper Tadeusz Sobczak. Pojechaliśmy więc na Mistrzostwa pełni obaw, lecz i z nadzieją. Pamiętam jak dziś. Startowało 10 uczelni podzielo-nych losem na 2 grupy eliminacyjne. Pierwszy mecz z Wrocławiem wygraliśmy po ciężkim boju. Następny mecz okazał się najważniejszy i to on zadecydował o mistrzostwie. Spotykaliśmy się z gospodarzami, świetnie przygotowaną drużyną. Jak to bywa w powiedzeniu, gospodarzom nawet ściany pomagają. Nie pomogły. Po wyrównanej walce byliśmy o kilka bramek lepsi. Później okazało się, że to był mecz o złoty medal. Na bazie niesamowitego entuzjazmu popartego umiejętnościami wygraliśmy pozostałe mecze eliminacyjne i finałowe. Jako jedyny zespół bez porażki z dumą i satysfakcją odbieraliśmy złote medale.

Na ten sportowy sukces zapracowali solidarnie wszyscy :

Krzysztof Dombek – bramkarz – ostoja spokoju

Zbigniew Brzeziński – bramkarz – dobry zmiennik

Jacek Kruczyński – lewoskrzydłowy – szybki, skoczny i bramkostrzelny

Stanisław Molski – prawoskrzydłowy – szybki i skuteczny

Leszek Parchimowicz – prawoskrzydłowy – szybki, obdarzony silnym rzutem

Karol Popiołek – center (kołowy) doskonały w obronie i ataku, kapitan

Henryk Siniawski – środek rozegrania – mózg zespołu

Mieczysław Walczak – prawe rozegranie, prawe skrzydło, center – zawodnik uniwersalny

Dariusz Woźniak – prawy rozgrywający

Krzysztof Zajac – lewy rozgrywający

Andrzej Deckert – trener wolontariusz

Kalos kagathos. Można postawić retoryczne pytanie: co wspólnego ma starogrecka idea kalokagatii ze zdobytym przed pięćdziesięcioma laty złotym medalem? Otóż ma i to wiele. Mistrzowie Polski Akademii Medycznych byli w pierwszej kolejności studentami, wszyscy z Wydziału Lekarskiego z Oddziałem Stomatologii. Sport był ich dodatkową pasją, której poświęcali wiele cennego, wolnego czasu. Wszyscy bez problemów ukończyli studia i oddali się z sukcesami pracy zawodowej i naukowej. I tak: Zbyszek Brzeziński został lekarzem, Krzysztof Dombek stomatologiem. Jacek Kruczyński – ortopedą – profesorem w Klinice Ortopedycznej im. W.Degi poznańskiego Uniwersytetu Medycznego. Stanisław Molski, chirurgiem naczyniowym, prof. dr hab. med. w Prywatnej Klinice w Osielsku (zmarł w 2022 roku). Leszek Parchimowicz był wieloletnim dyrektorem szpitala w Trzciance (zmarł w 2022 roku). Karol Popiołek właścicielem Niepublicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Trzemesznie.

Henryk Siniawski, absolwent AWF i AM, dr hab. med. Do emerytury pracował jako ordynator w Deutsches Herzzentrum Berlin. Mieczysław Walczak pediatrą, prof. dr hab. w Pomorskim Uniwersytecie Medycznym. Dariusz Woźniak – lekarzem, Krzysztof Zajac – stomatologiem.

Trener kl II, Andrzej Deckert od października 1974 do grudnia 2006 roku pracownik Studium WFiS Akademii Medycznej. Absolwent Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego (obecnie AWF), od 1999 roku dr n. biol. Doktorat obroniony na Wydziale Lekarskim I Akademii Medycznej w Poznaniu.

W maju 2024 roku mija pół wieku od tego historycznego wydarzenia. Dziś wszyscy uczestnicy pamiętnych mistrzostw, choć osiągnęli już wiek emerytalny, sądzę, że na pewno wracają do tamtych wydarzeń. Okazało się, że uprawianie sportu nie kolidowało z nauką, wręcz przeciwnie: pomogło w pracy zawodowej i naukowej. Kapitan i jednocześnie kierownik zespołu Karol Popiołek zachował pamiątki z tych wydarzeń: piłkę meczową z podpi-

sami wszystkich złotych medalistów i pamiątkowy dyplom od kolegów i trenera z okazji ukończenia studiów. W prawdzie z piłki zniknęły już podpisy, a dyplom mocno wypłowiał, jednak pamięć pozostała. Kapitan i trener utrzymują do dziś ścisły kontakt. W maju 2024 roku Karol Popiołek obchodzi drugi jubileusz z okazji 50-lecia ukończenia studiów medycznych w poznańskiej Akademii Medycznej im. Karola Marcinkowskiego (od 2007 roku Uniwersytetu Medycznego).

W poznańskiej Akademii Medycznej im. Karola Marcinkowskiego podczas Dnia Sportu wręczałem honorowe odznaczenia Kalos Kagathos profesorom, którzy będąc studentami osiągnęli wybitne wyniki sportowe, a po przekroczeniu przysłowiowej linii mety wspięli się na szczyty wiedzy.

Dziś, z pełnym przeświadczeniem, nadaję swym

zawodnikom wirtualne wyróżnienie Kalos Kagathos, na które wszyscy w pełni sobie zasłużyli.

Koledzy: po 50 latach dziękuję za wspólnie spędzone niezapomniane chwile na boisku i ...nie tylko.



ZUZANNA LAURA ADAMKIEWICZ

Mowa kwiatów

Kwiaty są najbezpieczniejszym prezentem jaki można wręczyć i to na każdą możliwą okazję – bez względu na to czy chcemy kogoś przeprosić, pogratulować, wyznać uczucia czy pożegnać. Przypuszczamy, że zwyczaj ten zrodził się już bardzo dawno temu gdy nasi przodkowie znosili do domu zioła służące wyrobowi wywarów leczniczych. Znaleźiska archeologiczne wskazują także na obecność kwiatów podczas uroczystości pogrzebowych. Moda na pielęgnowanie ogrodów w celach rekreacyjnych obecna była już w starożytności, na co wskazują podania o sumeryjskich ogrodach Semiramidy na tarasach czy opowieści o greckich filozofach prowadzących wykłady w otoczeniu zieleni. Prawdziwy kult ogrodnictwa i rozwój przydomowych parków z ołtarzykami i fontannami można przypisać starożytnym Rzymianom. Kwiaty są także elementem popkultury, na przykład ruchu hippisowskiego w latach 60', częścią nauki jako źródło substancji leczniczych, a obecnie nawet trendem w gastronomii.

Nie sposób pominąć kwiaty w sztuce, zwłaszcza w malarstwie, ale także architekturze i literaturze. W starożytnej Grecji, a później również Rzymie, popularnym motywem umieszczanym na kolumnach był akant – szybko rosnąca w klimacie śródziemnomorskim roślina utożsamiana z siłą i dominacją. Całą gamę symboliki roślinnej odnaleźć możemy także w Biblii i tradycji chrześcijańskiej, gdzie jednak zamiast kwiatów większą wagę przypisano roślinom użytkowym – winorośli i pszenicy podczas ostatniej wieczerzy, oliwce i palmie daktylowej jako surowcom do budowy krzyża Jezusa, czy fidze, którą zakryli się

Adam i Ewa w rajskim ogrodzie. Motywem, z którego korzystamy do dzisiaj, utożsamianym z Maryją jako dziewicą jest biała lilia – symbol czystości i cnoty. Kwiaty w sztuce zazwyczaj występowały jako element martwej natury, popularnej szczególnie w malarstwie holenderskim XVII wieku. Wtedy właśnie z Azji Mniejszej sprowadzono do Europy tulipany, a ich cena sprawiała, że mogli sobie na nie pozwolić jedynie najbogatsi. Prywatne ogrody były symbolem prestiżu i często pokusą do kradzieży. Z Ameryki Południowej zawędrowały na nasze ziemie również słoneczniki, których heliotropizm (podążanie w stronę słońca) skusił artystów do refleksji nad tęsknotą duszy ludzkiej do Boga. Kwiaty są bohaterami dzieł rozpoznawalnych na całym świecie, jak *Słoneczniki* Vincenta van Gogha czy *Kwiaty w szklanym wazonie* Abrahama Mignona. W literaturze motywów kwiatowych również nie brakuje. Róża, bohaterka *Małego Księcia*, była odzwierciedleniem pychy, kapryśności i próżności, ale też niezdrowej i skomplikowanej relacji. Narcyz, znany z mitologicznej historii, w której zakochał się sam w sobie, stał się symbolem samouwielbienia i obojętności wobec innych. Róże, lilie i narcyzy odnajdujemy także w *Widzeniu Ewy*, fragmencie znanych Polakom *Dziadów cz. III*. Niekiedy motywy malarskie i literackie łączą swoje siły, jak w przypadku dzieła Johna Millais *Ofelia* przedstawiającym bohaterkę *Hamleta* jako topielca, otoczoną roślinnością. Wierzba płacząca symbolizuje niespełnioną miłość, bratki – nieodwzajemnione uczucia, stokrotka – niewinność, a fiołki – młodą śmierć.

Obecnie symbolika jaka kryje się za poszczególnymi gatunkami kwiatów została nieco zapomniana.

Wiele mówi się o kupowaniu roślin doniczkowych, które zostają z osobą obdarowaną na dłużej. Wręczenie kwiatów ciętych nadal pozostaje jednak popularnym zwyczajem, który obarczony jest pewnymi zasadami *savoir-vivre*. Bukiety powinny zawierać nieparzystą liczbę kwiatów (chyba, że jest to przykładowo okrągła rocznica), podajemy je łodygami do dołu, bez papieru ochronnego i prawą ręką. Wybór gatunku oraz koloru też powinien być przemyślany – niektóre kwiaty posiadają przypisaną kulturowo symbolikę. Przykładem mogą być chryzantemy w Polsce lub kwiaty w kolorze żółtym w krajach Ameryki Południowej i Środkowej, które często zauważymy na nagrobkach. Tradycyjnie kolor biały zarezerwowany jest głównie dla kompozycji ślubnych, czerwony symbolizuje miłość, a żółty – sympatię i przyjaźń. Niebieski kojarzyć powinien się ze spokojem, tęsknotą i wiernością, a pomarańczowy – z energią i radością. Gatunek wręczanych kwiatów również ma niemałe znaczenie. Tulipany są symbolem zmiany, nadziei i zaufania. Goździki utożsamiamy z poczuciem wdzięczności, co ma swoje korzenie w dawnym zwyczaju wręczania ich z okazji Dnia Kobiet czy Dnia Matki. Gipsówka, stokrotka czy konwalia przywołują uczucie niewinności i czystości serca, a niezapominajka jest symbolem wielkiej miłości. Nie zawsze jednak kwiaty utożsamiane są z pozytywnymi emocjami. Słonecznik może zarówno oznaczać lojalność i oddanie, jak i pychę i niewdzięczność, a piwonie kojarzone mogą być ze wstydem. Mimo ogromnego wyboru dostępnych obecnie gatunków kwiatów faworytką nadal pozostaje róża. W zależności od barwy oznaczać może miłość i namiętność (czerwona), sympatię i uznanie (różowa), przyjaźń (herbaciana) lub zdradę (żółta).

Niezależnie od tego jakie kwiaty wybierzemy i w jakim kolorze, sam gest obdarowania kogoś, a nawet samego siebie, bukietem nasuwa przecież uśmiech na usta.



Ilustracja: Maria Tomaszewska

Herstory Hilmy af Klint.

O szwedzkiej malarce odkrywanej na nowo.

LIDIA TAŃSKA

Hilma af Klint to artystka zapomniana. Przypomniana, a wręcz odkryta po dekadach pominięcia. Ta postać, zapewne wciąż znana przez niewielkie grono, jest bardzo istotna z punktu całej historii sztuki. Hilma af Klint już w 1906 roku odcięła się w swojej malarskiej twórczości od realizmu, tworząc pierwsze kompozycje abstrakcyjne. Pionierka abstrakcjonizmu – ktoś by powiedział. Niestety, Hilma af Klint przez ponad sto lat była pomijana na kartach historii. Między innymi w 2012 roku Museum of Modern Art w Nowym Jorku odmówiło pokazania jej prac na wystawie poświęconej prekursorom abstrakcjonizmu. Można zadać pytanie: „Dlaczego?”. Nie sądzę jednak, że ktoś jest w stanie sformułować na nie racjonalną odpowiedź. Podnoszone argumenty, jakoby prace tej artystki i forma jaką przybierały, nie były świadomą decyzją artystyczną, przez co sytuuje ją to niżej niż Kandinsky’ego, Mondriana, Malewicza, również nie są dla mnie satysfakcjonujące. Sam Kandinsky, mówiąc o swoich początkowych kompozycjach abstrakcyjnych, przyznawał otwarcie, że wynikały z inspiracji muzyką i przekładania jej na język plastyczny. Tak więc zarówno w przypadku Hilmy, jak i Wassily’ego, pierwsze poszukiwania i odkrycia nowych obszarów wynikały z ich wewnętrznych i spirytualistycznych doświadczeń, a nie z analitycznych prób odkrycia istoty sztuki. Można więc stwierdzić, że „intelektualny” aspekt dochodzenia do rozwiązań sztuki abstrakcyjnej nie był warunkiem nadania statusu „prekursora” kierunku artystycznego. Co więc nim było? Odpowiedź nasuwa się sama.

Hilma af Klint tworzyła swoje obrazy w oparciu o przeżycia wewnętrzne, próbując uchwycić inny wymiar, także ten duchowy. Jej prace na pierwszy rzut oka wydają się być po prostu estetyczne, jednak

gdy zatrzymamy się przy nich na dłuższą chwilę, zobaczymy ukryte światy i wibrującą energię, jaką tchnęła w nie ta szwedzka artystka. Hilma swoją drogę artystyczną zaczęła od nauki w szwedzkiej politechnice, a następnie jako jedna z pierwszych kobiet studiowała w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Sztokholmie. Za życia jej twórczość nie została doceniona, a w testamencie zażyczyła sobie, aby jej prace zostały upublicznione dopiero 20 lat po śmierci. Artystka zmarła w 1944 roku, ale nawet dwie dekady później świat nie był gotowy na jej twórczość, a może raczej nie był gotowy, aby wpisać ją w szeregi twórców, którzy zabetonowali swój status prekursorów i ojców abstrakcjonizmu. Warto ponownie podkreślić, że pierwsze próby malarskie af Klint oderwane od realizmu powstały kilka lat wcześniej niż niezwykle słynne abstrakcjonistyczne akwarele Kandinskiego czy suprematyzm Malewicza. W 1970 roku Moderna Museet nie chciało przyjąć darowizny z pracami artystki, którą zaproponowali jej spadkobiercy. Owe muzeum dopiero w 2013 roku przyjęło do wiadomości istnienie artystki i jej wkład w historię sztuki, i miała szansę powstać wystawa monograficzna dająca rozgłos jej osobie. W 2019 roku twórczość af Klint tłumnie oglądano w Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. W 2023 roku można było natomiast zobaczyć jej obrazy zestawione z pracami Pieta Mondriana w Tate Modern w Londynie na wystawie „Formy życia”, ukazującej ich różne podejścia do sztuki abstrakcyjnej, osadzone jednak w obu przypadkach w relacji z naturą i próbach ukazania energii napędzających nasz świat.

Hilma af Klint prowadziła także między innymi seanse spirytystyczne i stosowała pismo automatyczne, wykorzystując te metody do tworzenia prac

na wiele lat zanim robili to surrealiści. Obracając się w świecie duchowym, często przygotowując się do tworzenia prac poprzez medytację, potrafiła dojść do rewolucyjnych rozwiązań plastycznych w sposób wręcz naturalny – z perspektywy czasu wygląda to tak, jakby ta swoboda koncepcji przychodziła jej tak łatwo jak oddychanie. Przez sam ten fakt oburzające jest to, jak ciężko szereg kuratorek i historyczek sztuki musiało pracować na to, aby rozepchnąć łokciami zapisane karty historii sztuki i przecierając zakurzone wersy, umieścić tam prawowitą pionierkę abstrakcjonizmu. Tych kobiet jest więcej, niektóre z nich ujrzały już światło dzienne, inne wciąż czekają na to, aby w myśl „herstory” odkrywać je dalej – pominięte, wykluczone, zapomniane. Hilme af Klint i jej hipnotyzujące obrazy można badać dogłębnie – samemu, w zaciszu domu, czy w czasie wizyt w (teraz już największych) galeriach na całym świecie.

Ilustracja: Lidia Tańska



JAKUB TROJANOWSKI

Biały Wilk z magicznym mieczem.

-Recenzja Książki *Elryk z Melniboné*

Słyszac przydomek “Biały Wilk”, wielu z nas od razu zaczyna myśleć o najsłynniejszym białowłosym zabójcy potworów, którego przygody wyszły spod pióra Andrzeja Sapkowskiego. Wiele lat przed Wiedźminem na kartach powieści pojawił się jednak inny albinos, który uznawany jest przez niektórych za pierwowzór uwielbianego przez Polaków Geralta. O tym jak wiele łączy wiedźmina z Elrykiem z Melniboné opowiem w poniższym tekście.

Najsłynniejsze dzieło pisarza

Elryk z Melniboné jest wydaniem zbiorczym pierwszych czterech powieści (według chronologii opowiadanej historii) opowiadających o losach cesarza podupadającego wyspiarskiego państwa. Michael Moorcock jest najczęściej kojarzony ze stworzoną przez siebie postacią albinosa, którego walka z losem przywodzi na myśl mitologicznych bohaterów. Tom został wzbogacony o wstęp pióra innego słynnego autora fantasy – Neila Gaimana. Nie jest to jednak taki wstęp, jakiego moglibyśmy się spodziewać. Współautor *Dobrego Omenu* zaproponował, by wykorzystać jego kilkustronicowe opowiadanie, które miejscami mocno odbiega od tematu książki, co czyni tę pozycję wyjątkową. W Polsce po wielu latach seria została wznowiona przez wydawnictwo Zysk i S-ka i trafiła na półki księgarń w lutym bieżącego roku. Za przekład powyższego tomu odpowiada Danuta Górka, która w swoim portfolio posiada tłumaczenie m.in. *Krw i popiołu*.

Elryk w czterech wydaniach

W skład *Elryka z Melniboné* wchodzi cztery osobne opowieści, tworzące spójną historię. Tytułowa powieść pełni funkcję wprowadzającą do multiwersum stworzonego przez pisarza. Co prawda pierwsze strony mogą zniechęcać do dalszej lektury, ale mimo wszystko autor zdołał na nich nakreślić

obraz świata, przedstawić najważniejsze postacie i zarysować łącznie ich relacje. Wszystko to przyprawiło wprowadzeniem do problematycznych losów Elryka. W dalszej części jesteśmy świadkami klasycznej powieści fantasy, w której główny bohater walczy o prawo do zasiadania na tronie ze zdrajcą ze swego otoczenia. Dodatkową stawką jest życie jego ukochanej – Cymoril. Choć Elryk nie jest tego świadomy, przypieczętował swój los, godny greckiej tragedii, gdy na pomoc przyzywa Airocha, jednego z demonicznych bytów, a także gdy w finale odnajduje Zwiastuna Burz – jeden z bliźniaczych runicznych mieczy.

W *Perłowej Fortecy* szkarłatnooki czarnoksiężnik, podszywając się pod złodzieja przynależącego do renomowanej gildii, podejmuje się misji wykradzenia perły z tytułowego miejsca jej przechowywania. Z pomocą osób bardziej doświadczonych w tej dziedzinie magii przenosi się do onirycznego wymiaru, w którym przemierza kolejne krainy, by w końcu dotrzeć do upragnionego celu. Natomiast *Żeglarz na Morzu Przeznaczenia* popłynął tematycznie w innym kierunku. W jednym momencie Elryk udaje się na wspólną misję ze swoimi innymi wcieleniami, by w innym spotkać swych odległych przodków. Tom pierwszy wieńczy *Kłótwa Białego Wilka*. Białowłosy wędrowiec wraz z zebraną flotą wyrusza, by zniszczyć

swoją ojczyznę. Jego przeznaczenie jest jednak silniejsze i nie tylko zostaje on uznany za zdrajcę przez obie strony, gdy jego siły zostają rozgromione podczas powrotu z wyprawy, ale też gdy przeklęty miecz zaspokajając żądzę krwi morduje bliskie Białemu Wilkowi osoby.

Kawałek solidnego fantasy

Elryk z Melniboné jest uznawany przez niektórych ludzi za klasykę gatunku, o czym informuje nas napis umieszczony na tyle woluminu. Moim zdaniem miano to związane jest raczej z faktem bycia typowym przedstawicielem fantasy niż wprowadzeniem czegoś przełomowego do tego gatunku. Mam nadzieję, że zmieni się to pod wpływem pozostałych tytułów z serii, których można spodziewać się w kolejnych latach. Rozumiem jednak, że dla osób, które miały z nią do czynienia w okolicy premiery, może ona zajmować szczególne miejsce pośród innych dzieł. Z punktu widzenia dzisiejszego czytelnika i ogromu dzieł, które pojawiły się na rynku od czasu oryginalnego wydania przygód Białego Wilka, łatwo zauważyć pewne bolączki i niedociągnięcia.

W przygodach potomka wielkich cesarzy trudno o zaskakujące zwroty akcji, a bohaterom zajmującym drugi plan często brakuje osobowości. Filozoficzno-etyczne rozważania zostały tylko pobieżnie liźnięte, a skomplikowanych decyzji i wchodzenia w głębię duszy i umysłu protagonisty raczej tu nie uświadczymy. W oczy rzuca się również problem z dozowaniem tempa akcji. Niektóre sceny rozciągają się na kilka stron lub przedstawione są w formie dialogów, natomiast finał danej historii często opisany jest pokrótce, by zamknąć opowieść w charakterystycznym dla drugiej połowy ubiegłego wieku formacie cienkiej książki i podsyć ciekawość czytelnika przed kolejną historią. Mimo to zbiór dzieł Michaela Moorcocka czyta się całkiem lekko i nie trzeba zagłębiać się w meandry przedstawionego świata, jak ma to miejsce w przypadku np. *Dawno temu Blask* czy *Malazańskiej księgi Poległych*. Może

właśnie ta prostota sprawia, że przygody Elryka na stałe zapisały się w dziejach gatunku fantasy i na przestrzeni lat stanowią polecaną lekturę, a także inspirację dla innych autorów.

(Nie)ładnie panie Sapkowski – Czyli czy Wiedźmin jest plagiatem Elryka?

Nadszedł czas by poruszyć we wspomnianym we wstępie aspekt podobieństw i inspiracji, i odpowiedzieć na pytanie, jak to właściwie jest z tym *Wiedźminem* w porównaniu do *Elryka*. Mimo krążących po fandomie żartów i anegdot jakoby polski pisarz miał popełnić plagiat, są to jednak dwa różne dzieła. Owszem Geralt i Elryk łączy powierzchownie bardzo wiele: przydomek, kolor włosów, natura wiecznego wędrowca, jak i narzekanie na swój los. Gdy jednak zagłębimy się w ten temat, okaże się, że mamy do czynienia z dwoma wręcz przeciwstawnymi postaciami. Geralt najchętniej działa (i posiada stosowne do tego umiejętności) w pojedynkę, natomiast Elryk podczas większości swoich przygód zdany jest na łaskę napotkanych po drodze osób, które nierzadko ratują mu życie. Rzeźnik z Blaviken stara omijać się wielkie konflikty i sojusze z potężnymi mocami, natomiast melniboanin nie stroni od wezwania na pomoc demony lub Władców Chaosu, czego ostatecznym skutkiem jest tylko pozorne poczucie kreowania własnego losu. Pod tym względem życie Elryka przypomina tragiczną postać Turina Turambara z tolkienowskiego Śródziemia, który wzorowany był z kolei na Kullervo z fińskiej *Kalevali*, czy cofając się do greckiej mitologii – na Edypie.. Tragedia każdego z tych bohaterów sprowadza się bowiem do tego, że każde działanie, nawet te, które dają pozorną nadzieję na podążanie własną drogą, zawsze prowadzą do z góry ustalonego skutku.

Nieźle, lecz nie wybitne

Elryk z Melniboné mimo sporych niedociągnięć względem innych, dostępnych obecnie tytułów, zestarzał się całkiem solidnie, o czym mogą świadczyć

powtarzające się pytania o kolejny tom, które czytelnicy zostawiają na profilu wydawnictwa. Choć osobiście przepadam za książkami, które w historię wplatają też dodatkowe rozważania i przesłania, nie rzuciłem książki w kąt po przeczytaniu pierwszych stron. Wręcz przeciwnie, zaciekawił mnie pomysł autora na stworzenie multiwersum opartego na przygodach wcielen tej samej postaci. Dlatego czekam na kontynuację przygód szkarłatnookiego albinosa i nie wykluczam, że kiedyś skuszę się na inne książki tego autora.

PLUSY

- + Ciekawy pomysł na uniwersum
- + Cztery osobne powieści układające się w jedną historię
- + Nowe przedstawienie historii opartej na edypowym fatum

MINUSY

- Momentami wypada błado w porównaniu do innych dzieł fantasy

Ilustracja: Basia Borysewicz



WERONIKA U. MUSIAŁ

Cykl Artefakty: Wong Kar-Wai

Na kinie raczej znam się średnio. Mimo to sprawiam często wrażenie osoby dość obeznanej w temacie, kojarzę bowiem sporo nazwisk czy tytułów. Nigdy jednak nie miałam cierpliwości do gapienia się w ekran, zawsze wokół było pełno rozpraszaczy, które sprawiały, że rozbijałam oglądanie filmu na etapy, które potrafiło dzielić nawet kilka miesięcy. Przypomniałam sobie o czymś, co musiałam pilnie zrobić na wczoraj, zadzwonił telefon, trzeba było rozwiesić pranie czy w końcu wypić tę herbatę, którą zalałam wrzątkiem przed kilkunastoma minutami. W efekcie wiele klasyków kina znam jedynie z opowieści. Szczęśliwie, jest garstka produkcji skonsumowanych przeze mnie na raz, a kilka z nich zrealizował Wong Kar-Wai, twórca któremu zdecydowałam się poświęcić parę stron w ostatnim wydaniu tego roku akademickiego.

Dzieciństwo reżysera dość znacząco ukształtowała ówczesna sytuacja polityczna w Chinach. Na fali represji związanych z Rewolucją Kulturalną oraz zaciętej walki o władzę w strukturach Komunistycznej Partii Chin, rodzice zaledwie ośmioletniego Kar-Waia zdecydowali się opuścić ojczyznę i osiedlić w niedalekim Hongkongu, będącym wtedy pod kontrolą brytyjską. Przeprowadzka nie okazała się być jednak bezproblemowym przedsięwzięciem, ponieważ zdecydowano, że najpierw z Chin wyjadą rodzice wraz z najmłodszym dzieckiem (naszym bohaterem), a dwójka starszego rodzeństwa dołączy do nich niedługo później. Los okazał się być okrutnym katem, który w wyniku zamknięcia granic rozdzielił pięcioosobową rodzinę na aż dziesięć lat. Przez to dorastanie w Hongkongu nie było dla Kar-Waia ani łatwym, ani przyjemnym doświadczeniem.

Wspomina on trudności w nauce kantońskiego i angielskiego, które biegle opanował dopiero w okresie nastoletnim. Wszystko to potęgowało uczucie izolacji i niedopasowanie. Jako pozytyw czasów wczesnej młodości wymienia kino, które bardzo często odwiedzał wraz z matką. W jednym z wywiadów, zapytany o swoje dziecięce pasje, opowiedział właśnie o filmach jako formie ucieczki od niepokojącej rzeczywistości i trudnych wspomnień.

Swoją przygodę z produkcją filmów rozpoczął we wczesnych latach 80., kiedy to zrezygnował ze studiów graficznych na miejscowej politechnice na rzecz odbycia stażu w przedsiębiorstwie telewizyjnym TVB. Pierwotnie pracował przy realizacji oper mydlanych, co niedługo potem zamienił na pisanie scenariuszy dla innych twórców. Oficjalnie w okresie od 1982 do 1987 spod jego ręki wyszło ich 10, a przy około 50 innych pracował jako konsultant. Debiutem reżyserskim Wong Kar-Waia był film *As Tears Go By*, którego premiera miała miejsce na początku 1988 roku. Tytuł nawiązuje do piosenki napisanej przez Micka Jaggera i Keitha Richardsa, a inspiracją dla fabuły były gangsterskie klimaty *Mean Streets* Martina Scorsese. Produkcja doczekała się nawet pokazu na festiwalu filmowym w Cannes, a w samym Hongkongu została nagrodzona za najlepszego aktora drugoplanowego oraz scenografię.

Kino Wong Kar-Waia poznałam poprzez niekończące się owocne zauroczenie. W czasie pierwszego roku studiów zdarzyło mi się trafić na chłopaka zafascynowanego tym reżyserem. Chodziłam wtedy na długie spacery po parku niedaleko jego osiedla, odkrywając przy tym piękne zakątki miasta i znajdując mój po dziś dzień ulubiony sklep ogrodniczy

pełen tanich roślin doniczkowych. Poza kreśleniem w głowie scenariusza o potencjalnym wpadnięciu na siebie niczym w amerykańskich serialach dla nastolatków, zdecydowałam się również na seans cenionych przez niego produkcji. Trzeba przecież posiadać chociaż minimalne rozeznanie.

Pierwszym filmem, który włączyłam, był melodramat *In The Mood For Love*, opowiadający historię o osobliwym romansie mieszkańców tej samej kamienicy. Żonaty mężczyzna i mężatka dowiadują się bowiem o tym, że ich współmałżonkowie potajemnie się spotykają. Osamotnieni i pogrążeni w nudzie zbliżają się do siebie, spędzając razem coraz więcej czasu. Wyjątkowym elementem tego obrazu jest fakt, że ani razu na ekranie nie widzimy sceny pocałunku, nie padają miłosne deklaracje, ani tym bardziej nasi bohaterowie nie oddają się porywom namiętności. Zamiast tego spacerują, ćwicząc ze sobą sceny potencjalnego wyjawienia wiedzy o zdradzie przed współmałżonkiem. Cały czas unosi się między nimi atmosfera troski i wzajemnej fascynacji. Podniosłe uczucia są tutaj wręcz trywialnie i bezpośrednio widoczne, co świetnie puentuje scena złożenia tajemnicy w drzewie. Osoby, które *In The Mood For Love* już widziały, nie zdziwi na pewno fakt, że na fali ogromnego wzruszenia projekcją, zaczęłam rozglądać się za drzewami idealnymi do składania tajemnic. Ciekawym jest to, że nawet mi się udało! W parku, na terenie wildeckiego szpitala ortopedycznego rośnie właśnie takie drzewo, perfekcyjne do przechowywania sekretów.

Czymś, co również zostaje w człowieku, jest kontrast pomiędzy wnętrzami mieszkań widocznych na ekranie a aparycją postaci. Bohaterowie, podobnie jak sam reżyser filmu, wywodzą się z Chin kontynentalnych, które opuszczają w nadziei na poprawę bytu w brytyjskiej kolonii, Hongkongu. Niższy status społeczny sprawia, że żyją stłoczeni w ciasnych, często zaniedbanych kamienicach, nie mogąc ukryć się przed wścibskim wzrokiem sąsiadów. Nie przeszkadza to jednak w nienagannym i nader schlud-

nym ubiorze pani Chan i pana Chow. Dopasowane kwieciste sukienki czy idealnie ułożone włosy nie są jednak jedyną informacją świadczącą o ważności mody w produkcji Wong Kar-Waia. Sam romans współmałżonków zostaje odkryty przez głównych bohaterów właśnie za pośrednictwem elementów garderoby. Podejrzenia o zdradzie potwierdzają się, kiedy mąż Su nosi krawat ze sklepu, gdzie żona Chowa kupuje jego akcesoria, a Su codziennie ma przy sobie torebkę przywiezioną przez męża ze służbowej podróży do Japonii, która okazuje się być identyczna z torebką Pani Chow. Takie drobne zabiegi wizualne naprowadzają widzów na odpowiedni trop. Podróż kamery po ciasnych wnętrzach oraz wąskich uliczkach perfekcyjnie dopełnia magiczna melodia przewodnia przewijająca się przez cały seans.

Filmem, o którym nie sposób nie wspomnieć, jest produkcja nieco starsza od *In The Mood For Love*, mianowicie *Fallen Angels*. Tutaj mamy do czynienia z przeplatającymi się historiami kilku wyaliniowanych społecznie mieszkańców Hongkongu. Jednym z nich jest płatny zabójca, któremu informacje o kolejnych zleceniach przekazuje agentka. Z racji specyfiki pracy widują się rzadko, kontakt utrzymują za pośrednictwem faksów lub listów. Osamotniona kobieta stopniowo popada w obsesję na punkcie swojego zawodowego partnera, posuwając się do myszkowania w śmieciach celem bliższego poznania jego przyzwyczajęń. W tym samym czasie w innej części miasta niemy recydywista He Zhiwu pod osłoną nocy otwiera sklepy, zmuszając przypadkowych przechodniów do kupowania oferowanego przez niego towaru. Kolejną bohaterką jest pewna gadatliwa młoda kobieta, która swoją samotność i smutek maskuje nadmierną wylewnością w stosunku do obcych. Fascynująca jest tutaj praca kamery, udźwiękowienie oraz scenografia, którą stanowią ciemne, wypełnione dymem papierosowym wnętrza barów, znajdujących się na skąpanych w świetle neonów ulicach.

Nieco innym filmem, aczkolwiek utrzymanym w stylistyce Wong Kar-Waia, jest *Happy Together*. Wyjątkowo sceneria wykracza poza Hongkong, a nawet Azję. Tutaj reżyser na tapetę bierze relację dwóch kochanków, którzy podróżując po Ameryce Południowej burzliwie się kłócą, co skutkuje nagłym rozstaniem. Nie mija długi czas, kiedy jeden z nich dociera pobity do mieszkania byłego partnera, prosząc o dach nad głową. Mężczyzna się zgadza, jednak zdecydowanie zaznacza, że nie jest zainteresowany pomysłem ponownego zejścia się. Przeplatają się tutaj destrukcyjne rozstania i namiętne powroty, pomiędzy którymi lokują się sceny magicznego tanga. Bohaterowie gubią się, żeby za chwilę się znaleźć, a po dłuższym momencie znowu się rozdzielić. Ze względu na miejsce akcji oraz aspekty wizualne, zwykłam nazywać tę produkcję analogową pocztówką z Argentyny. Zetknęłam się z nią po raz pierwszy minionej jesieni, kiedy w uniwersyteckiej bibliotece obejrzałam *Happy Together*, podjadając wafelki i przyglądając się studentom pierwszego roku pochylonym nad atlasami anatomicznymi. Bohaterowie filmów Wong Kar-Waia bezapelacyjnie łączy samotność. Jest ona jednak pewnego rodzaju paradoksem, który zbliża do siebie ludzi spragnionych wartościowej interakcji z drugim człowiekiem. Samotność okazuje się nie być wcale tak beznadziejna, jak wydaje się nam wszystkim, a wykrzesane z niej przypadkowe spotkania potrafią zmienić wiele. Naprawdę wiele.



Ilustracja: Basia Borysewicz

WOJCIECH PĘKOSZ

Serial Fallout i adaptacje gier wideo

Mający niedawno premierę serial *Fallout* szybko uzyskał, całkiem zresztą zasłużenie, poklask krytyków i status tak zwanej *dobrej adaptacji*. I może nie powinno to nikogo dziwić. Reżyserem dwóch z ośmiu odcinków, a także pomysłodawcą całego projektu, jest w końcu Jonathan Nolan, znany przede wszystkim ze współpracy ze swoim bratem, Christopherem, nad trylogią filmów o Batmanie, a także świetnego rebootu marki *Westworld*. A jednak nie sposób było nie oczekiwać najgorszego. W historii branży wiele jest przecież przykładów skleconych naprędce filmów na licencji, które miały przede wszystkim wzbogacić się na konotacjach z popularną grą wideo. Dość wspomnieć o *Doomie* z 2005, *Super Mario Bros.* z 1993 czy filmografii Uwe Bolla.

Oczywiście, przechodzenie z jednego medium na inne zawsze stanowiło nie lada wyzwanie. Są adaptacje świetne, jak choćby *Fight Club* czy *Władca Pierścieni*. Są adaptacje słabe, jak Lynchowska *Diuna* czy *Johnny Mnemonic*. Ale w nich za materiał źródłowy służyła literatura. A jest coś w medium gier wideo, co czyni je wyjątkowo trudnym w adaptowaniu. I serial *Fallout* posłużył mi za katalizator przy głębszej refleksji nad istotą tej trudności. A także rozważań nad unikatowym podejściem Bethesdy do całego interesu budowania świata przedstawionego na przestrzeni różnych medium. I w ogóle fenomenu czegoś, co możemy nazwać *Expanded Universe*. Ale po kolei.

Same adaptowanie nie jest oczywiście zjawiskiem nowym. Mógłbym bawić się tu w wymienianie przykładów pokroju fresków w Kaplicy Sykstyńskiej, Biblii Pauperum czy *Also Sprach Zarathustra* Richarda Straussa. Nie ukrywajmy jednak, że współczesne oblicze adaptowania jest silnie osadzone w transmedialnej, konwergencyjnej spuściznie kultury masowej, w której sam nośnik staje się drugorzędny wobec

mocy przerobowej tekstu. Jest to dość charakterystyczne zjawisko pączkowania utworów pochodnych, stanowiących wariację na temat pierwowzoru, uwarunkowaną treściowo przez swój format. Mogą to być choćby towarzyszące premierze filmu literackie wariacje scenariusza (np. *Mad Max* z 1979 albo *Gwiezdne Wojny* z 1977).

Nie ukrywajmy jednak, że język gier wideo jest drastycznie różny od książki czy filmu. Gry wideo w imię zrobienia przestrzeni dla aktywnego odbiorcy, czyli gracza, muszą opierać w dużej mierze na umowności i tzw. *suspension of disbelief*. Dlatego więc Gordon Freeman nie ginie od posłanej weń serii z karabinu maszynowego, Johna Marstona sen zmorzy dopiero po kilku tygodniach biegania po prerii, a Ezio Auditore wciska sobie do gęby cudowne lekarstwo w odpowiedzi na otrzymane głębokie rany cięte i klute. Wszystko to wydaje się być dość naturalne dla grającego, który sięga po wirtualne światy przede wszystkim w celach rozrywkowych. Realistyczne umiowanie bohatera po jednym ciosie stałoby na drodze frajdy.

A jednak jest to ten rodzaj umowności, który w innym medium stanowiłby przekorcenie Rubikonu logiki. Nawet *John Wick* zachowuje pozory przeżywalności głównego bohatera. W książkowej adaptacji *Assassin's Creed 4: Black Flag* scenę z gry, w której Edward Kenway zostaje postrzelony pistoletem skałkowym z odległości kilku metrów i nic sobie z tego nie robi, trzeba było zmienić. W literackim wydaniu po prostu raziłoby to aż nadto.

I tu interesującym zjawiskiem wydaje się ścieżka, którą na dłuższą metę obrało Lucasfilm. Zamiast bawić się tylko w adaptowanie wcześniej ukazanych na dużym ekranie fabuł, imperium Georga Lucasa wybrało ścieżkę zdecydowanie ciekawszą, a przede

wszystkim bardziej dochodowe, czyli przełożenie świata *Gwiezdných Wojen* na niemal wszystkie możliwe formaty. Najciekawsza w tym kontekście jest kampania transmedialna *Star Wars: Shadows of the Empire*, której założeniem było wyprodukowanie takiej ilości treści, jaka miałaby miejsce przy okazji premiery filmu, ale bez... filmu. Jest to przy tym też przykład budowania tzw. *Expanded Universe*, czyli poszerzania świata przedstawionego w ramach *kanonicznych* utworów.

A zatem w 1996 roku Lucasfilm puściło w obieg grę wideo, książki, komiksy, zabawki, kolekcjonerskie karty, a nawet ścieżkę dźwiękową. Bez filmu. Kampania *Shadows of the Empire* osiągnęła przy tym niemały sukces. I choć po resecie uniwersum po przejściu *Gwiezdných Wojen* przez Disney'a wszystkie te utwory straciły status *kanonicznych*, to jednak przez długi czas stanowiły dla fanów istotny budulec treściowego bogactwa marki. Część postaci czy motywów zresztą w takiej czy innej formie powraca w disney'owskim *Expanded Universe*.

Lekcję płynącą z transmedialnych wysiłków Lucasarts zdawała się przyswoić rosnąca w siłę branża growa. *Dead Space* otrzymał książki i komiksy poruszające elementy uniwersum ledwie liżnięte w samych grach. Podobnie *Dragon Age* czy *Mass Effect*. Szczególnie ciekawie wypada w tym kontekście marka *Halo*. W oryginalnej trylogii Bungie Master Chief stanowi małowówny archetyp w duchu takich postaci jak Gordon Freeman z *Half-Life'a* czy Chell z *Portala*. W samej grze wiemy o nim tyle, że jest elitarnym super-żołnierzem. I że ludzkość przegrywa wojnę ze Sprzymierzonymi, sojuszem wielu ras kosmitów. Natomiast tuż przed premierą pierwszego *Halo*, Microsoft wydał powieść Erica Nylunda *Halo: Fall of Reach*, w której nie tylko dowiadujemy się o wczesnym dzieciństwie Master Chiefa, czyli Johna 111, ale także możemy przeczytać o jednym z najważniejszych wydarzeń całej wojny – upadku ludzkiej kolonii Reach. Cały ten kontekst nie jest potrzebny

dla zrozumienia fabuły gier, a jednak pojawiają się w nich liczne nawiązania do książek, bo po *Fall of Reach* naturalnie pojawiły się kolejne, a motywacje części bohaterów czy frakcji po lekturze stają się dużo klarowniejsze.

I tu zostajemy z nieszczęsną Bethesda. Jak na właściciela dwóch wielkich marek branży, podchodziła ona z dużym dystansem wobec lukratywnego rynku adaptacji. Na przestrzeni ponad trzydziestu lat *Elder Scrollsy* dorobiły się jedynie dwóch powieści, *The Infernal City* oraz *Lord of Souls*. *Falloutowi* zaś poskąpiono nawet i tego. Zestawiając to podejściem innych wydawców, a przede wszystkim Electronic Arts oraz Ubisoftu, wydaje się to być aż dziwne. Jeszcze dziwniejsze zaś było ogłoszenie, że Amazon otrzymał licencję na zrobienie serialu *Fallout*. Zwykle podobnie dużym projektom towarzyszy duży push medialny. Przy okazji premiery filmu *Prince of Persia* Ubisoft dla przykładu prędko odkurzył markę i zaserwował graczom średnie *Prince of Persia: The Forgotten Sands*. Ale Bethesda od *Fallouta* 76 z 2018 roku skupia się na *Starfieldzie* i *The Elder Scrolls VI*.

Zwykle osamotniona w ten sposób filmowa adaptacja oznacza projekt, który w pewnym momencie został po prostu skazany na porażkę. Ale czasem, jak miało to miejsce choćby w przypadku growego *GoldenEye* wydanego dwa lata po premierze filmu, adaptacja sama w sobie broni się jako oddzielne dzieło do tego stopnia, że jest w stanie wywalczyć sobie przestrzeń na sukces bez dodatkowych werbli i fanfarów. I na szczęście tak właśnie prezentuje się Amazonowy *Fallout*. To nie tylko udane przełożenie języka gier na medium filmu, ale także po prostu cholernie wciągający serial. Do tego stopnia, że wkręciłem ojca w oglądanie, mimo że u niego zainteresowanie gramami ogranicza się do strategii pokroju *Total Wara* i *Sid Meier's: Civilization*. I niech ten fakt posłuży za moją gorącą rekomendację, jako że nie jest to recenzja, a luźny felieton.

Jeśli wytrwaliście z moim wywodem do tego momentu, gratuluję. Staliście się oto powiernikami popkulturowej, transmedialnej prawdy, otwarliście trzecie oko i wstąpiliście na wyższy stopień życiowego wtajemniczenia. Wiedza to władza. Liczę na to, że wykorzystacie ją do pretensjonalnego wymądrzania się, gdy któryś z Waszych towarzyszy niedoli powie coś o „tym nowym serialu *Fallout*”. Zmasakrujcie go informacjami o historii adaptacji, grillujcie go swoją erudycją! Niech pożałuje, że odważył się odezwać w obecności guru!



3	IX	25			24				1		11		4				7
									III								XIV
12						10										21	
													XV				
						20											
											XIII		XII				
XI		26															
									27		II						
I			28												29		
23																	
													22			17	
19					30				2	XVI		15					8
														16			
9					IV											V	
									14	XVII				VIII			
										VII							
13		VI		X								18					
5									6								

I	II	III	IV	V		VI	VII		VIII	IX	X	XI	XII	XIII	XIV	XV	XVI	XVII
---	----	-----	----	---	--	----	-----	--	------	----	---	----	-----	------	-----	----	-----	------

POZIOMO

- 3. Pomoże w problemach z tarczycą.
- 4. Niegrzeczne dziecko.
- 5. Granulocyty zasadochłonne.
- 6. W chemii, może być jednorodna/ niejednorodna.
- 9. Złoto, ..., mirra.
- 10. Do wieszania skazańców.
- 12. Sielanka, beztroska.
- 13. "... anioł", serial.
- 14. Pudełko na słodycze.
- 18. Zatyka oskrzela w mukowiscydozie.
- 19. Produkowana przez komórki C tarczycy.
- 20. Umożliwia ostre widzenie z różnych odległości.
- 22. Choroba oczu z powodu wysokiego ciśnienia wewnątrzgałkowego.
- 23. Może być oddechowa lub metaboliczna z wysokim pH krwi.
- 26. Zbiór przepisów organizacji.
- 27. Człowiek z butlą i maską na twarzy.
- 29. Wagon gastronomiczny.

PIONOWO

- 1. Niski poziom białych krwinek.
- 2. Faworyzowanie krewnych przy obsadzaniu wysokich stanowisk.
- 3. Żyje zgodnie z hasłem "carpe diem".
- 4. Kot..., rasa.
- 7. Powieść z 1979 roku Kurta Vonnegut, też ponowne popełnienie przestępstwa przez osobę wcześniej karaną.
- 8. Jeden z aminokwasów endogennych, skrót Ala.
- 9. Mieszkaniec krainy na Pomorzu Gdańskim.
- 11. ... etylenowy, składnik płynów chłodniczych.
- 15. Związek frazeologiczny, "miecz ...a".
- 16. Znajdziesz ją na niebie.
- 17. Wieś obok Lubonia.
- 20. Małe, bolesne owrzodzenia w jamie ustnej.
- 21. Pomiędzy metafazą, a telofazą.
- 24. Człowiek twardo stojący na ziemi.

- 25. Wysoki niezgrabny chłopak.
- 28. Zachwycą się swoją urodą.
- 30. ...Norek, "Miodowe lata".

NAGRODA:
Zaproszenie na spektakl w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Sponsorem nagrody jest Teatr Wielki w Poznaniu.
Prawidłowe odpowiedzi, podpisane imieniem i nazwiskiem, przesyłajcie na adres jolka@pulsum.pl do 20.07 wraz z dopiskiem „Krzyżówka”. Ze wszystkich nadesłanych zgłoszeń wylosujemy zwycięzcę, który otrzyma nagrodę.

SUDOKU

6					8			
	4			1	6			3
					5		7	4
1	7							
				3		9	4	2
					2	1	6	7
	9	7	5	8	1			
	8			6	3	2		9
					4		5	8

				7			9	3
		1						
5				3		8		7
2	1	9						6
7					3	4		2
		3	6	1				9
4							3	1
1			7	8				
				6				

							9	
		7	2	6				
				8		2	4	
	2	9				6		
3	4	8						5
		2		7			1	
5		3				7	6	9
9			5			3		

				5			9	2
		7						
4				2		6		5
3	7	9						1
5					2	8		3
		2	1	7				9
8							2	7
7			5	6				
				1				

		9	8	4				
					2	7	4	3
1		2					9	5
2	3	6		5	4			8
		1	7	3	8			6
						1	3	
9	5		6	7				
		7	5	2			6	9
			4					

				6			4	
				3	7		1	5
1				9		8		2
8		2	6				4	7
		7	4	3				9
4							5	2
6			5	9				8
		8	1				3	9
		3		2	7			

3	1			5				
2		8	7			6		3
6				8	1	2		9
	8	2			4	5		6
9								8
					7	1	3	
				9			6	5
			2					

	2			5		7	1	3
				7				8
7		5		3	4			9
		6			8	3	2	
3	9	4	7					
8				1			6	9
	4	3	1		5	6		
						8		
5				6	2	9		1

Prawidłowe rozwiązania sudoku, podpisane imieniem i nazwiskiem, przesyłajcie na adres **jolka@pulsum.pl** do 20.07.2024 wraz z dopiskiem „Sudoku”. Ze wszystkich nadesłanych zgłoszeń wylosujemy zwycięzcę, który otrzyma nagrodę – dwie pojedyncze wejściówki do Poznańskiego Muzeum Pyry. Powodzenia!

Dziennik Podróżnika

Wpis 162:

Ostatnie starcie

Po dwóch dniach od aktywacji artefaktu, poczuliśmy trzęsienie ziemi, a z okolic ruin wydobył się oślepiający blask. Na miejscu zastał nas potworny widok. Na ziemi leżał otoczony czarną mgłą ogromny smok, którego zgnile cielsko stopniowo się regenerowało. Na jego brzuchu wciąż było widać krwistoczerwone mięso i kości, a zamiast smoczego pyska miał niezliczone macki, które wily się niekontrolowanie.

Adela pośpiesznie zwróciła uwagę, że smok może się całkowicie zregenerować do końca dnia, więc natychmiast obmyśliliśmy plan. Każdy miał swoje zadanie, które miało przyczynić się do pokonania smoka.

Edel bez wahania przywołał światło bogini, które otoczyło nas ochronnym blaskiem. Jego moc sprawiała, że nasze ciała wydawały się lżejsze, a zmysły wyostrzone, dzięki czemu wszyscy zauważyliśmy słabe punkty smoka.

Adela zaczęła miotać wietrznymi ostrzami w stronę pyska bestii. Każde uderzenie magicznych sztyletów sprawiało, że macki odrywały się od ciała, choć szybko odrastały. To wystarczyło, żeby zwrócił swoją uwagę tylko na Adeli.

Grunak, wykorzystując swoją krasnoludzką siłę, wpadł na smoka od boku. Jego potężne ciosy wymierzone w odsłonięte kości bestii spowodowały, że wydała ona z siebie przeraźliwy ryk. Grunak uderzał z niezlomną determinacją, wiedząc, że każda sekunda była na wagę złota.

Ja, wspierany przez światło Edela, zbliżyłem się do brzucha smoka. Z każdym krokiem czułem, jak mroczna energia próbuje mnie powstrzymać, lecz moc bogini chroniła mnie przed jej wpływem. Kiedy znalazłem się dostatecznie blisko, wyciągnąłem miecz i zacząłem zadawać precyzyjne ciosy, celując w najbardziej wrażliwe miejsca.

Nagle, w środku walki, smok zaczął mówić w smoczym języku. Dźwięki te były dla nas niezrozumiałe, ale ich potęgą wstrząsnęła nami od środka. Czuliśmy, jakby nasze ciała mogły się w każdej chwili rozpaść.

Edel, mimo przerażenia, skupił się na neutralizowaniu potęgi smoczej mowy. Światło bogini wokół niego zaczęło błyskać, a on sam walczył do kresu swoich możliwości. Z jego ust, nosa i oczu zaczęła sączyć się krew, ale mimo to nie przestawał, wiedząc, że jego rola jest niezastąpiona.

Walka była zaciekle. Mimo że macki smoka odrastały, Adela nie ustawała w atakach. Wietrzne ostrza siekały na wszystkie strony, a jej zręczność sprawiała, że była nieuchwytna dla kontrataków bestii. Edel, skoncentrowany na podtrzymywaniu światła bogini, co chwila kierował świetliste pociski w stronę potwora, neutralizując jego moc.

Grunak, dysząc ciężko, kontynuował swoje brutalne uderzenia. Jego topory rozbijały się o kości bestii, powodując, że ta traciła równowagę. Każdy cios Grunaka był precyzyjnie wymierzony, celował w te miejsca, które zdawały się być najsłabsze.

W końcu, po długiej i wyczerpującej walce, udało mi się przebić przez klatkę piersiową bestii i zadałem decydujący cios, który przeszył jej serce. Smok runął na ziemię i ledwo dysząc wypowiedział słowa w smoczym języku, które były skierowane bezpośrednio do mnie:

– W rozrywającym zmysły bólu odrodzę się na nowo, lecz w zupełnie nowym ciele.

Tuż po tym poczułem ból głowy tak straszny, że sprowadził mnie na kolana, jednak po chwili ustąpił.

Reszta zdawała się nie rozumieć, co powiedział smok, ale zauważyli moje przerażenie.

Trzęsienia ziemi ustąpiły, a cielsko potwora rozpadło się w drobny pył, który został wciągnięty przez artefakt, on z kolei pękł na pół, przerywając swoje mroczne działanie.

Padliśmy na ziemię, wyczerpani, ale zwycięscy. Wiedzieliśmy, że dokonaliśmy czegoś wielkiego.

Edel, Adela i Grunak skinęli głowami, wiedząc, że nasza wspólna droga dobiegła końca. Zebraliśmy siły i ruszyliśmy w stronę powozu, gotowi aby wyruszyć do stolicy.

Ostatni raz spojrzałem na miejsce, gdzie zniknął smok, czując niewyjaśniony ciężar na mojej duszy...

SUCHARY

Ile rysi mają Maorysi?

-Mało rysi.

Dlaczego drukarka zawsze w wyścigu zajmuje drugie miejsce?

-Bo zawsze jest tusz-tusz.

Co mówi nauczyciel przy mapie świata?

-Witam Państwa.

Jak nazywa się potomek krowy?

-Pokrowiec.

Jakie drzewo ma głupie pomysły?

-Porąbane.

Podchodzi facet do szafy i mówi:

-**Rzeczywiście.**

Jaki urząd zawsze trafia?

-Urząd celny.

Jakie spodnie nosi brukarz?

-Do kostek

Jak się nazywa najbardziej mokra część ciała?

-Staw

Co robią transformersy po imprezie?

-Składają się na taksówkę.

Jak się nazywa nowo wyprodukowany banknot?

-Kasanowa.

Jakie ciastka zajada hydraulik?

-Rurki z kremem.

Jak nazywa się twarz matematyka?

-Oblicze.

Co mówi brat do swojego bliźniaka?

-Mordo ty moja.

Gdzie konie urządzają bal?

-Na balkonie.

Jak się śmieje las?

-Mech mech mech.

Jak nazywa się kartka należąca do osy?

-Papierosy.

Jak się czuje człowiek bez rąk?

-Niezręcznie.

Co zrobił strażak z obiadem?

-Pożar.

Dookoła stołu, na którym leży walizka z 5000 zł stoi neurochirurg, ortopeda, internista, pracowity anestezjolog i leniwy anestezjolog. Który z nich jako pierwszy sięgnie i chwyci za walizkę z pieniędzmi?

Odpowiedź: Leniwy anestezjolog

Dlaczego? – Neurochirurg nie będzie schylał się po takie grosze, ortopeda nie załapał o co chodziło w grze, internista nie zdążył, bo musiał się skonsultować, a pracowity anestezjolog nie istnieje.

POKOLENIA



OPERA • SEZON 24/25

STANISŁAW MONIUSZKO

FLIS

Kłoczko / Poll
28 IX 2024

ZYGMUNT KRAUZE

ŚLUB

Tomala-Jedynak / Cicheński
22 XI 2024

NIE UPILNUJE
NAS NIKT

Donlon / Jung / Kozielska
6 XII 2024

GIACOMO PUCCINI
TURANDOT

Kaspszyk / Ran Arthur Braun
7 VI 2025

ROMEO I JULIA

R+J

Robert Bondara
27 VI 2025

FESTIWAL
MONIUSZKI

28 IX–13 X 2024

FESTIWAL
PRZEDWIOŚNIE
BALETOWE

20–29 III 2025

BILETY JUŻ
W SPRZEDAŻY!

Do 25 VIII 2024 bilety na hasło PRZEDSPRZEDAŻ w specjalnych cenach!

Kasy biletowe (ul. Fredry 9)
wt.-sb. 13:00–19:00 oraz w nd.
dwie godziny przed spektaklem
www.bilety.opera.poznan.pl

Biuro Obsługi Widzów
(wejście od alei Niepodległości)
tel. 61 85 20 825 lub 61 65 90 280
bow@opera.poznan.pl

Więcej:



WIELKOPOLSKA



INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



